BIBLIOTEKA
Państwowej Wyższej Szkoły Pedagogicznej
w GDAŃSKU
K Polon.

Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

Cena zł 1.20

W NUMERZE:

R. SEGIT, J. CZOSNYKA, J. WROBLEWSKI, CZ. SCHABOWSKI — (Dalsze głosy w dyskusji o „Wsi").
N. RYBAK — Rada Perejasławska. P. GRENIUK — Czy wam się to podoba? O. TERLECKI — Zięć i teść.
B. GAŁĘSKI — „Odróżniać chłopa pracującego". J. KOZŁOWSKI — Pisarz ludowego powstania.
M. AZEMBSKI — Lokomotywy i orczyki. ST. PIĘTAK — Nad pamiętnikiem ojca.
J. KUREK — Przejażdżka po Świątnikach T. CHYBA — Rozmowy o sojuszu.
J. ŁABĘDŹ — „Artos" w terenie.

Wieś

tygodnik społeczno-literacki

Rok XI — Warszawa, dnia 31 stycznia 1954 r. — Nr 5 (443)

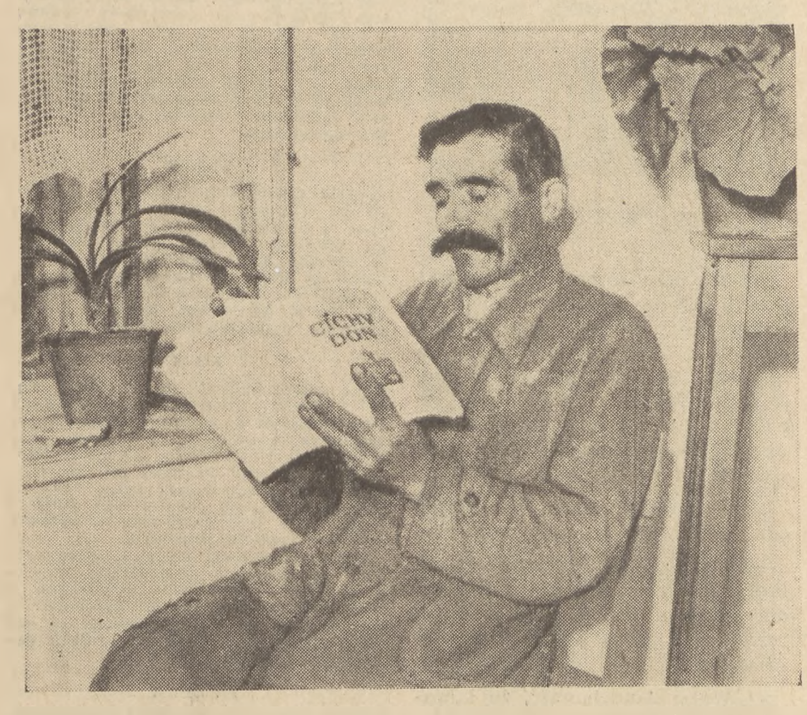

fot. A. Mustał

STANISŁAW KRAKOWIAK

O tych co powieści „studiują"

W kręgu łagodnego światła lampy skupiła się cała rodzina Marusików. Kobiety robią na drutach pończochy i rękawiczki, mały Aluś zabawia się z ojcem, a dziadek, Władysław Marusik, czyta na głos „POCZĄTEK OPOWIEŚCI" Mariana Brandysa.

Za oknami szaleje zimowa śnieżyca; wiatr huczy na podwórzu i w kominie, a w chacie zasłuchani widzą nowobudujące się o kilkaset kilometrów miasto naszej epoki, Nową Hutę.

Potem dziadek Marusik bierze z książki temat do gawędy: Jak jest z nowym systemem murowania, tzw. trójkowym, a teraz już — panie święty — piątkowym? Ilu to było przeciwników wśród murarzy i to wśród tęgich majstrów? Co nowe— przyjmuje się z trudem.

Zapala papierosa i porównuje trudności budowy Nowej Huty z trudnościami, jakie mamy do pokonania w gminie

— Niby to Nowa Huta daleko, ale trudności podobne Alboż to nie było głupich i opornych gdy w pięćdziesiątym roku werbowaliśmy chętnych do elektryfikacji? „Prędzej światłość wiekuista zaświeci, nim zabłyśnie nam żarówka elektryczna" — nie tak to trajkotały babki z Rokicin i Łaznowa? Ale elektryfikacja — panie święty — przyszła i dziś w całej gminie jarzy się lampka elektryczna, a babki jakoś się do światłości wiekuistej nie kwapią. Przekonali się ludzie, jakim to dobrodziejstwem elektryczność, radio, kino, ośrodek weterynarii. — A początki zawsze są trudne.

Albo i postawa ludzi, jak ona może zachęcić i zniechęcić do pracy. Pokazuje pisarz tej opowieści dwóch brygadierów. Od jednego ludzie uciekają — bo gburowaty, daje zły przykład, a do drugiego lgną, jak do ojca. Dlaczego? Bo jeden opryskliwy, komenderuje, ważny, a drugi troskliwy, stanowczy, przyjacielski.

Takich to ludzi z otwartym umysłem i dobrym sercem poszukać w naszej gminie, bo stara kadra osłabnie.

Marusik przeczytał wiele książek. I „Pamiątkę z Celulozy" i „Szosę Wołokołamską" i „Papież i buntownik" — Wiktora i dziesiątki innych Teraz czyta „Podżegaczy" Szpanowa.

Mimo podeszłego wieku i wątłego zdrowia znajduje czas na coraz to lepsze gospodarowanie i na pracę społeczną. Jest jednym z najczynniejszych członków Rady i Komisji Rolniczej oraz przewodniczącym Komitetu Budowy Szkoły w Rokicinach. Wir pracy pochłania go zupełnie. Moc i ostrość widzenia rzeczy i zjawisk uzyskuje z wnikliwego czytania książek. „Bez książek byłby ze mnie stary dziadek, do niczego, a tak widzę jeszcze lepiej i głębiej, niż niejeden młody człowiek".

*

Książka jest również nieodłącznym i najlepszym przyjacielem Antoniego Jędrzejewskiego — byłego fornala, obecnie średniorolnego chłopa w Popielawach.

W jesieni 1953 r przeczytał Jędrzejewski „Popioły", „Szosę Wołokołamską", „Płomień gorejący" „Starą Baśń". Ostatnio przeczytał i przemyślał „Podżegaczy" Szpanowa. A co o nich mówi?

— W tej pięknej książce opisał autor dwa światy, które ścierają się z sobą na śmierć i życie Pokazał ohydne targowisko mięsem armatnim, którym kupczył kapitał niemiecki, angielski, francuski, amerykański Jak się czyta tę książkę, to widać mechanizm polityki Hitlera i jego protektorów — bankierów Anglii i Ameryki. Gdyby robotnicy złączyli się mocniej pod sztandarami walki o pokój, na nic zdałyby się wysiłki Hitlerów i innych podżegaczy.

Takiej książki nie czytałem, jak żyję. Chciałbym ją polecić każdemu członkowi partii, aby jeszcze bardziej uświadomił sobie, że słusznie stoi na pozycji walki o pokój. Tę książkę powinni czytać wszyscy, aby wreszcie przejrzeli i zrozumieli, do czego zdolni są podżegacze...

Pożyczyłem Jędrzejewskiemu dalszy ciąg „Podżegaczy" „Spiskowców". Zorientują go jeszcze głębiej w polityce podżegaczy wojennych. Będzie miał wiele do powiedzenia po jej przeczytaniu.

Jędrzejewskiego pasjonują książki polityczne Nic dziwnego: w Polsce sanacyjnej był inicjatorem strajków fornali w majątkach obszarniczych i nieprzejednanym wrogiem ucisku i wyzysku. Po wojnie — średniorolny gospodarz wciągnął się w życie społeczne gminy. Jest II sekretarzem KG PZPR, aktywnym członkiem komitetu rodzicielskiego. Obecnie pełni funkcje przewodniczącego komitetu założycielskiego spółdzielni produkcyjnej w Popielawach.

Mimo 60 lat życia, stary rośnie. Rozwija się w pracy społecznej i pod wpływem czytania książek. Słowo Jędrzejewskiego cenią wszyscy. Jest to bowiem słowo człowieka poważnego, mądrego, postępowego.

*

Czytanie Marusika i Jędrzejewskiego nazwijmy raczej studiowaniem. Studiują bowiem i dokształcają się nie tylko Marusik i Jędrzejewski. Tak samo pracują z książką Juliusz Chmielarski z Michałowa, Bykowski, Machnowski z Łaznowa, Marcinkowski z kol Łaznów, Stefkówna z Rokicin i wielu, wielu innych. W ciągu jednego zimowego miesiąca przeczytają oni i przemyślą więcej książek niż niejeden nauczyciel w naszej gminie. Nic też dziwnego, że kiedy w radzie zabiera głos rolnik Jan Marcinkowski, to referuje sprawę nie gorzej, niż kierownik szkoły podstawowej w Popielawach czy dyrektor szkoły zawodowej w Rokicinach. Widać u niego i jemu podobnych czytelników wzrastający poziom umysłowy, nadążanie za życiem, za postępem.

Dlatego wydaje się wprost konieczne, aby ci Marusikowie, Jędrzejewscy, Marcinkowscy i inni nie czytali tylko dla siebie i dla swoich rodzin; trzeba stworzyć im warunki podzielenia się spostrzeżeniami i uwagami z szerokim kręgiem czytelników biblioteki wiejskiej.

Rady czytelnictwa i bibliotekarze w trosce o pogłębienie czytelnictwa niechże organizują, szczególnie w miesiącach zimowych, zebrania czytelników, na których miłośnicy książek wtajemniczą zebranych młodych i początkujących czytelników w tajniki swych spotkań i przeżyć z najlepszym przyjacielem, jakim jest książka.

Tego rodzaju zebrania i dyskusje spotkają się z uznaniem u wszystkich członków bibliotek wiejskich.

Stanisław Krakowiak
Rokiciny k. Koluszek

POLSKIE RADIO I REDAKCJA TYGODNIKA „WIEŚ"

ogłaszają z dniem 1 lutego br.

KONKURS

DLA WIEJSKICH CZYTELNIKÓW KSIĄŻEK

pod hasłem

„PISZĘ O KSIĄŻCE, KTÓRA OSTATNIO DAŁA MI NAJWIĘCEJ WZRUSZEŃ I KORZYŚCI"

DO UCZESTNICTWA W KONKURSIE wzywamy mało- i średniorolnych chłopów, kobiety i młodzież, aktywistów wiejskich oraz inteligencję pracującą na wsi.

Apelujemy do bibliotekarzy, kierowników świetlic, nauczycieli, kierowników zespołów czytelniczych, aby przyczynili się do jak najpełniejszego udziału przodujących czytelników w naszym Konkursie.

*

JAKIE KSIĄŻKI MOŻNA OMAWIAĆ? Można omawiać zarówno powieści, jak dzieła społeczno-naukowe, czy książki rolnicze.

*

TERMIN NADSYŁANIA WYPOWIEDZI NA KONKURS UPŁYWA Z DN. 31 MARCA BR. (decyduje data stempla pocztowego).

*

KONKURS MA CHARAKTER OTWARTY, tzn., że w miarę nadsyłania wypowiedzi, najciekawsze z nich będą odczytywane w Radio i ogłaszane we „Wsi". Nie zwlekajcie więc z pisaniem wypowiedzi tak, aby już w drugiej połowie lutego słuchacze Radia i czytelnicy „Wsi" mogli się zapoznać z pierwszymi głosami uczestników. Pragniemy, aby zachęciły one innych do opisania swoich przeżyć nad wybraną książką, do przedstawienia, jak ją zrozumieli i jaki wywarła wpływ na ich życie osobiste i społeczne.

Sądzimy, że wszyscy radiosłuchacze i czytelnicy „Wsi" odniosą korzyść z Konkursu, dowiadując się o wielu książkach, ich treści i wartości, poznając dzięki konkursowi i głosom czytelników różne rodzaje wpływu książki i zastosowania ich w życiu.

*

SĄD KONKURSOWY ogłosi w połowie kwietnia wyniki Konkursu, przyznając autorom najlepszych i wyróżnionych wypowiedzi cenne nagrody.

W najbliższym czasie podamy do wiadomości ilość i rodzaje nagród.

*

WYPOWIEDZI NALEŻY NADSYŁAĆ NA ADRES:
POLSKIE RADIO — WARSZAWA, z dopiskiem na kopercie: „Na Konkurs Czytelniczy", albo: REDAKCJA „WIEŚ — WARSZAWA, Pl. Starynkiewicza 7 z dopiskiem na kopercie: „Na Konkurs Czytelniczy".

Za ogłoszone w Radiu lub opublikowane we „Wsi" wypowiedzi autorzy otrzymają honorarium.

WACŁAW PALIK

Mały konkurs na tle wielkiego

Konkurs ogłoszony przez Polskie Radio i tygodnik „Wieś" łączy się niewątpliwie z IV etapem konkursu czytelniczego, jaki od kilku lat organizuje corocznie Związek Samopomocy Chłopskiej.

W roku 1950 konkurs skupił około 30 tysięcy uczestników — po czterech latach, na 10-lecie Polski Ludowej, staje do konkursu już pół miliona czytelników wiejskich.

Jak wiadomo, w konkursie ZSCh szło nie tylko o przeczytanie kilku określonych książek. Uczestnik zapisywał również swoje oceny i wrażenia, brał udział w zespołowych dyskusjach nad książkami, propagował czytelnictwo w gromadzie, zespoły rozwijały prace świetlicowe, ożywiały działalność kół gospodyń, ZMP, ZSCh, podnosiły oświatę rolniczą — w konsekwencji produkcję rolną, pogłębiały świadomość polityczną aktywistów i gromad.

Po czterech więc latach półmilionowa rzesza uczestników konkursu czytelniczego to nie tylko prosta suma pięciuset tysięcy czytelników. To wielka rzesza ludzi, walczących w dziesiątkach tysięcy wsi o kulturę, o jej upowszechnienie i rozwój.

*

Akcja werbunku i zgłoszeń do IV etapu jest już poza nami. Zaczął się drugi okres — umacniania się zespołów i uczestników w samym procesie czytania książek i dyskusji. Okres to zasadniczy. Teraz rozstrzygać się będzie i sprawa ilości... odpadających z konkursu i sprawa jakości pracy nad książką.

Wypowiedzi *o książce, która przyniosła mi największy pożytek* — ogłaszane w Radio i we „Wsi" — spełnią rolę codziennych komunikatów z wielkiego placu czytelniczej budowy. Budowy nowej kultury polskiej wsi, gdzie wszyscy aktywiści książki walczą teraz w gromadach o to, aby pogłębić wiedzę o człowieku, o historii, o przyrodzie, o socjaliźmie, aby odnaleźć wskazówki i wzory dla praktyki nowego życia w czytanych i dyskutowanych dziełach.

Konkurs Radia i „Wsi" przerwie więc ciszę, jaka zwykle zasnuwa wszelkie konkursy aż do dnia ogłoszenia wyników. I dobrze, że przerwie, bo cisza taka dla pół miliona uczestników to zawsze niebezpieczeństwo demobilizacji.

Konkurs Radia i „Wsi" włącza się w IV etap w okresie dla tego etapu najważniejszym, kiedy setki tysięcy uczestników zasiadają nad książkami, kiedy starają się wniknąć w istotę utworu, zrozumieć najpełniej jego treść, zdać sobie sprawę z piękna formy, dorobić się trafnych spostrzeżeń, powiązać z własnym życiem i wyciągnąć dla niego płodne wnioski.

W tej fazie są im potrzebne stałe i różnorodne bodźce. Zadaniem rad czytelnictwa, organizacji masowych, bibliotekarzy i kierowników zespołów jest o pracy tej przypominać, organizacyjnie ją umacniać i posuwać naprzód. Ale zarówno dla opiekunów jak samych uczestników najsilniejszym bodźcem będą osiągnięcia w samym procesie czytania i dyskusji, przykłady wyników tej pracy, cenne doświadczenia przodujących czytelników.

Ogłaszane w Radio i we „Wsi" wypowiedzi czytelników staną się *warsztatem doświadczalnym* dla tysięcy uczestników IV etapu, którym sprawia trudność rozgryzienie książki, a jeszcze większą napisanie sprawozdania, które łączyłoby ocenę i charakterystykę książki z wrażeniami i praktyką czytających.

Konkurs Radia i „Wsi" stwarza więc swojego rodzaju kurs szkoleniowy dla półmilionowej rzeszy czytelników. Kurs tym cenniejszy, że prowadzony przez bliższych czy dalszych sąsiadów, współzawodników tego samego IV etapu. Wielka ilość wypowiedzi ukaże bogaty wachlarz wzorów podejścia do książki, ich oceny i zastosowania we własnym środowisku. Pomogą one uczestnikom IV etapu „rozgryźć" czytane książki i dojrzeć do uformowania własnej oceny, do odnalezienia wniosków konkretnych dla ich sytuacji i warunków.

Ogłaszane w Radio i we „Wsi" wypowiedzi stworzą atmosferę stałego ożywienia i zapału w pracy zespołów czytelniczych, wzmogą świadomość wielkiej doniosłości uczestnictwa w IV etapie konkursu czytelniczego, który przypada na 10-lecie Polski Ludowej. Pogłębią sam tok pracy nad książką.

*

Konkurs Radia i „Wsi" ma również na celu zadanie niezależne od IV etapu. Korzysta z tej fali, aby społeczeństwu i wsi ukazać jak dalece rozwinęła się świadomość mas chłopskich, jak dojrzało czynne uczestnictwo w kulturze chłopów mało- i średniorolnych oraz aktywistów wiejskich.

W dziesiątym roku Polski Ludowej czas już przysłuchać się — na świetnym przykładzie oceny książek — głosowi wsi pracującej w zakresie jej doświadczeń kulturalnych, potrzeb, postulatów i projektów.

Znamienny jest fakt, że bezsporna w ocenie krytyki powieść J. Newerlego „Pamiątka z Celulozy" i wśród sporów krytyki nagrodzona powieść J. Putramenta „Wrzesień" — zostały w krótkim czasie wydane w kilku nakładach. Przyczynił się do tego sukcesu wydawniczego w niemałej mierze czytelnik wiejski. Miarę oceny musimy więc uzależnić nie tylko od zawodowej krytyki, ale w coraz większym stopniu od opinii mas czytelniczych. Ten jeszcze za mało znany „krytyk" powinien stać się znany szeroko i poważnie brany w rachubę. Coraz bardziej razem z nim a nie bez niego i ponad nim trzeba dyskutować o naszej literaturze i projektować jej rozwój. Czynny stosunek masowego odbiorcy do sztuki jest dziś zjawiskiem charakterystycznym.

Twórca ludowy Tichoniuk pisał niedawno o tym, jak to gromada postanowiła pomóc mu w orce i w siewach, aby tylko nie przerywał malowania obrazków, ktore miał wysłać na I Konkurs Plastyczny. Walenty Maćkowiak ze spółdzielni produkcyjnej w Kurowie (pow. Kościan) największy sukces swej pracy bibliotekarza widzi w tym, że dziś „często już ktoś z aktywu na zebraniu, w brygadzie i przy jakiejś innej okazji da porównanie a to z poezji, a to z powieści, także powołują się na broszury rolnicze".

Weźcie pierwsze z brzegu opinie o tej samej książce, np. o „Zoranym ugorze".

— „Chłopa nie uświadomi ani nie przekona przymus czy groźba (Nagulnow) — pisał B. Gorzelany ze Słocina (pow. Nowy Tomyśl) — ale pełen humoru, cierpliwy i świadomy swych obowiązków agitator, wyjaśniający każdą sprawę dokładnie i sprawiedliwie. Przykładem dla działaczy prowadzących do założenia spółdzielni może być Dawydow".

„My, pracujący chłopi w Przededworzu — pisał Z. Koziuba (pow. Tomaszów Lubelski) — doświadczenie czerpiemy z Gremiaczego Łogu jak walczyła biedota i jak ją podchodził wróg zbrodnią, sabotażem i tumanieniem. *Tu jest wzór jak bić i jak nie dać się już bić.* Tak my możemy łatwiej i szybciej zaprowadzić nowe życie".

Pierwsza wypowiedź pochodzi z kręgu średniaków, druga z kręgu biedoty. Obie wymownie ukazują jak klasowo, aktualnie i konkretnie wczytują się chłopi w powieści. W ich wypowiedziach ogłaszanych przez Radio i „Wieś" odczytamy i usłyszymy serca bijące na wsi miłością do książki, do kultury. Dowiemy się, jak książka żyje w ludziach, wspominana coraz częściej wśród powszedniego dnia pracy Posłyszymy wiele wnikliwych, odkrywczych sądów i cennych projektów dla życia i samej literatury.

Wacław Palik

rys. J. Sikora

TEZY PRZEDZJAZDOWE

Kowal kuje...

...gdzie? Pyta się o to olbrzymią część chłopów w Polsce. Podkucie konia czy naprawa obręczy coraz częściej staje się wyprawą w nieznane. Czasem trzeba jechać 10 km, czasem jeszcze dalej. Bywa i gorzej. Są już całe powiaty, które nie mają na przykład kołodziejów. Chcesz koło, proszę bardzo, siadaj w pociąg i jedź choćby do Warszawy. A jakie skutki przynosi brak rymarzy! Spytajcie się np. weterynarzy, co czują biedne koniska, gdy chomąto zbite gwoździami.

Jest oczywiste, że brak rzemieślników wiejskich wpływa bezpośrednio na wydajność rolnictwa. Tylko ślepy nie dostrzeże związku siewów z naprawą pługa, zbiorów z uprzężą, hodowli z usługami cieśli czy betoniarza. Jest także rzeczą ogólnie znaną, że ciężar obsłużenia codziennych potrzeb ludności wiejskiej w 80 proc. spoczywa na indywidualnych warsztatach rzemieślniczych. Troska więc o zaspokojenie potrzeb rolnictwa wymaga również opieki nad rzemieślnikami indywidualnymi. Taka też jest linia polityczna naszego państwa, które rzemieślnikowi nie żyjącemu z wyzysku cudzej pracy zapewnia należyte warunki egzystencji. Tak np. państwo zwolniło całkowicie od podatków z tytułu prowadzenia warsztatów tych rzemieślników, którzy opłacają podatek gruntowy. Ci zaś, którzy nie posiadają ziemi, opłacają tylko minimalny podatek, zwolnieni są od obowiązku prowadzenia ksiąg podatkowych, nie podlegają domiarom itp. Jak wszyscy ludzie pracy korzystają oni z wczasów, leczenia sanatoryjnego i innych zdobyczy socjalnych.

Cóż więc powoduje, że rzemieślnik staje się coraz większą osobliwością na wsi? Odpowiedź może być tylko jedna — wypaczanie słusznej polityki państwowej przez lokalne organa terenowe. Jak tu bowiem mówić o pomocy rolnictwu, gdy np. kowale nie dostają węgla i koksu? Ba, czasem jest to nawet poparte oficjalnym zarządzeniem. Taki np. Wydział Przemysłu Prezydium WRN w Bydgoszczy poleca w okólniku wydawać paliwo tylko tym warsztatom, które pracują dla sektora uspołecznionego. A czy nie jest dowodem najwyższego lekceważenia chłopa przydzielanie wiejskim punktom krawieckim tylko wełny 46 i 60 proc.? Przecież chłop nie szyje sobie u krawca ubrania roboczego!

Kogo tu winić? Przede wszystkim rady narodowe i GS-y. Od nich zależy prawidłowy rozdział surowca. Klasycznego na to dowodu dostarcza wojew. stalinogrodzkie. Na przykład w powiatach rybnickim i bielskim kowale otrzymują odpady żelaza, a już w powiecie będzińskim i częstochowskim — nie. A jak nazwać odmawianie przez terenowe rady narodowe potwierdzeń zapotrzebowania na surowiec, mimo że rzemieślnicy rozliczają się z każdej otrzymanej ilości.

W ciągu najbliższych dwóch lat rzemiosło wiejskie powiększy się o 20 tysięcy nowych warsztatów, tj. o 50 proc. Nie zaspokoi to jeszcze całkowicie potrzeb wsi. Trzeba pamiętać, że obok ślusarza, rymarza czy bednarza wieś potrzebuje także krawca, szewca i fryzjera. Trzeba się liczyć z tym, że postępująca mechanizacja pracy na roli i elektryfikacja wsi stwarzają zapotrzebowanie na typowe dotąd dla miasta usługi elektrotechnika, radiomechanika czy piekarza. Stąd też nawet powrót do zawodu wszystkich dawnych rzemieślników, przekwalifikowanie np. szewców na rymarzy itp. środki — nie opanują jeszcze całkowicie problemu. Pewną pomoc mogłyby dać GS-y, wprowadzając sprzedaż gotowych wyrobów rzemieślniczych. Przede wszystkim jednak trzeba zabrać się na większą skalę do szkolenia kobiet, które w szeregu zawodów mogą w zupełności zastąpić mężczyzn. Warto również pomyśleć o utworzeniu dużej liczby lotnych brygad rzemieślniczych odwiedzających periodycznie okręgi wiejskie. Dużo mogą zrobić ekipy łączności miasta ze wsią. Jeżdżą już dawno na wieś robotnicy wielkich zakładów przemysłowych, by naprawiać brony; lekarze niedzielami leczą chłopów. Czy nie mogliby np. zorganizować takiej ekipy fryzjerzy, cieśle, szewcy, murarze itd. Nie ma przecież monopolu na sojusz. Wykuwa się go nie tylko kilofem ale i szewskim młotkiem.

Z. K.

MIROSŁAW AZEMBSKI

LOKOMOTYWY I ORCZYKI

Co z oczu, to i z serca" — tak głosi przysłowie. Ale czasem bywa inaczej — i właśnie tutaj chciałbym kilka słów powiedzieć o człowieku, który już dawno temu opuścił wieś, ale nigdy o niej nie zapomniał.

*

Przyjechałem do Zakładów im. Stalina w Poznaniu przyciągnięty wiadomością o tak zwanej produkcji ubocznej. Cóż to takiego?

— Otóż — powiedziano mi w dyrekcji — sprawa miała swoje źródło, zdaje się, w lekkim podenerwowaniu robotników. Patrzyli jak potężne maszyny tłoczą kotły parowozowe o wadze wielu ton, a tego samego dnia słyszeli od żon, czy matek, że trudno dostać w poznańskich sklepach najzwyczajniejszy garnek. Solidnie i zgodnie z planem przebiegała produkcja wagonów pullmanowskich, a mało kto myślał, że marzeniem małych Janków, czy Wicków jest inny pojazd: saneczki. Ścinki wysokogatunkowej

Januchowski — drugi od prawej wybiera ścinki żelazne, z których produkowane są okucia do orczyków

stali zwracano hutom na złom, a na mieście poważny problem stanowiło nabycie blaszek do butów...

Wtedy to do redakcji zakładowej gazety wpłynął ów sławny już dzisiaj list dwóch ślusarzy: Janiszewskiego i Bartkowiaka. Naradzali się poprzedniego dnia długo, wypili przy tym chyba beczkę piwa, i napisali między innymi tak:

...Wiemy, że przemysł lekki nie może na razie rzucić na rynek dostatecznej ilości artykułów codziennego użytku, bo potrzeby ludzi pracy rosną bardzo szybko... Moglibyśmy odciążyć rynek ogólny, w naszych zakładach istnieją możliwości zainicjowania produkcji ubocznej, mamy przecież maszyny i mamy surowce-odpadki, możemy produkować z tego garnki, wieszaki, łopaty do węgla...

Tu następowała długa lista przedmiotów, wśród których zwróciły moją uwagę „okucia do orczyków", „podkowy" i tym podobne przedmioty gospodarstwa wiejskiego.

— Dobrze — powiedziałem. — Robotnicy zaczęli produkować dodatkowo garnki i szczotki, bo odczuwali dotkliwy brak tych rzeczy. Ale chyba nie mają zamiaru kupować sobie koni i wozów? Skąd się wziął akurat taki pomysł?

— Ten pomysł? Ano, znalazł się taki, co go zgłosił. Najlepiej, żebyście z nim samym porozmawiali: nazywa się Januchowski, jest nawet posłem na Sejm...

Poszedłem szukać Januchowskiego. Widziałem po drodze dziwne rzeczy: w powietrzu, zawieszona na stalowych linach, kołysała się lokomotywa, a tuż obok robotnik pasjonował się zupełnie inną sprawą — przecinał włosek brzytwą, którą dopiero co wykonał z odpadków stali. Wytaczano na tor wspaniałe, lśniące lakierem wagony, opodal wtaczano do magazynu beczki — także ze znakiem fabrycznym ZiSPO. Dwie produkcje zaprzątały ludzi: wielka i mała, skomplikowana i prymitywna, owiana patosem i skromniutka — obie korzystne i potrzebne.

W blachowni, u podnóża maszyny zwanej zginarką, krząta się człowiek w granatowym fartuchu i cyklistówce. Zgięty we dwoje przerzuca jakieś kawałki blachy. Prostuje się i widzę jego twarz posiekaną zmarszczkami, a wśród zmarszczek wesołe, szare oczy.

—Edward Januchowski — przedstawił się przekrzykując huk mechanicznych młotów.

Usiedliśmy na skrzyni, wypełnionej ścinkami blachy.

*

— Dlaczego właśnie ja wystąpiłem z projektem dodatkowego produkowania okuć do wozów? To długa historia i bardzo stara, bo sięgająca jeszcze moich lat młodzieńczych. Wtedy nie byłem jeszcze posłem na Sejm, ale zwykłym pastuchem.

Ojciec Januchowskiego (mój rozmówca pochodzi spod Wągrowca) gospodarzył na dwu hektarach, on zaś pasał gęsi u Mata i Berlika, najbogatszych gospodarzy. A kiedy przyszedł 18 rok życia, trzeba było obejrzeć się za jakąś poważniejszą robotą. Ojciec oddał go na naukę do kowala w Wągrowcu.

Znacie te małe miasteczka, które były w gruncie rzeczy tylko większą, rozbudowaną wsią? Wystarczy powiedzieć, że kuźnia była w Wągrowcu jedynym chyba zakładem przemysłowym.

Zjeżdżali się tutaj chłopi z całej okolicy, przywożąc bolączki, którym zaradzić mógł tylko kowal: popsute pługi, zdarte podkowy i, najczęściej, popękane okucia orczyków. Te się rozwalały chyba co parę dni. Mistrz miał pełne ręce roboty, a przed kuźnią tworzyły się ogonki.

— Kiedy moje zrobicie? Robota czeka w polu...

— Spokojnie — mówił kowal spocony jak mysz. — Widzicie, że nie próżnuję, przyjdzie wasza kolej...

Chłopi klęli i szli do karczmy.

Mistrz istotnie nie miał lekkiej pracy. Jego silne, o przekrwionych żyłach ręce gięły blachę obcęgami, kuły młotem, formowały ten twardy materiał tak szybko i sprawnie, jak tylko ludzkie ręce potrafią.

Ale efekt bywał nie nadzwyczajny: jeden komplet okuć w ciągu dnia, najwyżej dwa — to wszystko, co można było osiągnąć przy pomocy tych dwóch silnych i sprawnych rąk.

Uczeń kowalski — Edward, naciskał kołek miecha, podawał narzędzia i rozmyślał, ile też wysiłku wymaga wykucie takiego świństwa, co jutro z powrotem popęka...

Minęły lata. Poseł Edward Januchowski, przodujący pracownik ZiSPO, przeczytał jednocześnie dwie notatki w gazetach, z których jedna niewiele miała wspólnego z drugą.

„Trybuna Ludu" donosiła, że we wsiach odczuwa się brak kowali, ponieważ ci przeważnie wywędrowali do miast i tam pracują w przemyśle.

Czasopismo zakładowe „Na Stalinowskiej Warcie" przynosiło rozważania pewnego inżyniera, który udowadniał, iż park maszynowy ZiSPO jest tak rozległy, tak zróżnicowany i tak wydajny, że nie uszczuplając zasadniczej produkcji mógłby przyjąć na siebie wiele innych zadań z zakresu przemysłu lekkiego.

Któż by mógł skojarzyć, powiązać ze sobą obie te wiadomości i wyciągnąć z nich wspólny wniosek? Na to trzeba było być Edwardem Januchowskim, robotnikiem, który swoje młode lata spędził na wsi,

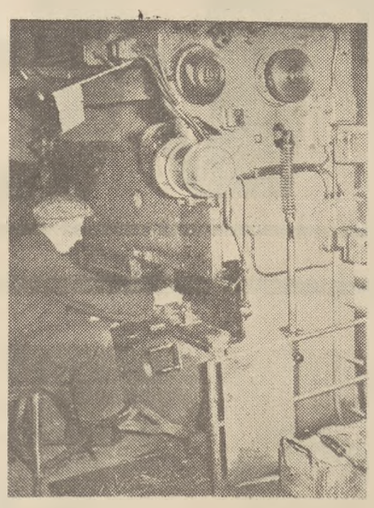

Edward Januchowski przy zginarce

Jeszcze tego samego dnia stanął przy maszynie, a Czesław Michalak podawał mu kawałki żelaznej taśmy, wyszukane w skrzyniach z napisem „ZŁOM". Gięli to żelazo, cięli, przykrawali i pogadywali sobie, jak bardzo musi się nad tym natyrać wiejski kowal, ile węgla spali i tak dalej.

Po ośmiu godzinach czterdzieści okuć do orczyków leżało gotowych.

Przyszedł akurat Pilarski. Był on kiedyś kowalem na wsi i potrafił dobrze rzecz ocenić. Podrzucił na rękę jedno takie okucie i powiedział:

— Widzę Januchowski, że kowalom robotę odbieracie.

— Ano tak. I zdaje się, że to dobrze. Takie czasy.

To mówiąc pokazał mu notatkę w „Trybunie Ludu".

Drugiego dnia okucia poszły do badania w fabrycznym laboratorium. Wytrzymały 7 ton obciążenia. A zatem jeszcze lepsze, niż kowalskie.

*

W ten właśnie sposób w planach produkcji dodatkowej ZiSPO znalazły się przedmioty chłopskiego użytku. Tańsze, lepsze i co najważniejsze — potrzebne. Okucia do wozów, podkowy, gwoździe, obręcze, beczki...

Jeszcze jest to produkcja w powijakach, jeszcze nie robi się tego tyle, ile by można: to znaczy tysiącami. Ale nie chodziło mi tutaj o ustalenie w złotych i groszach korzyści, jakie przyniesie chłopom inicjatywa poznańskich robotników. Być może kiedyś i o tym trzeba będzie napisać. Chciałem tylko powiedzieć kilka słów o samej inicjatywie, o człowieku, który pożegnał mnie słowami:

— Trzeba znać potrzeby wsi. Kto raz tam kiedyś żył, ten zawsze potrafi coś takiego wynaleźć, aby im pomóc...

Mirosław Azembski

Sprawy przyjaciół

SZTUKA LUDOWA

W Paryżu otwarto wystawę rumuńskiej sztuki ludowej. Ekspozycję zorganizowała paryska Agencja Literacka i Artystyczna oraz Towarzystwo Francja — Rumunia. Uwagę zwiedzających przyciąga bogaty wybór tkanin i pięknie haftowanych strojów ludowych. Licznie reprezentowany jest dział kilimów i dywanów. Szczególne bogactwo motywów ludowych oddaje dział snycerski. Na wystawie znajduje się szereg fragmentów pięknie rzeźbionych drzwi, okien, pułek itp.; fotografie pokazują wnętrze domów chłopskich, gdzie przedmioty te pełnią swą funkcję użytkową. Osobny dział poświęcony jest ceramice. Prasa francuska zamieściła o wystawie wiele pochlebnych notatek i artykułów.

W Czechosłowacji ukazał się pierwszy tom wydawnictwa „Slovenské ludové umenie". Zawiera on dużo jedno- i wielobarwnych reprodukcji dzieł architektury ludowej z całej Słowacji. Osobna część, poświęcona haftom, jest ilustrowana fotografiami najpiękniejszych wzorów ludowych. Ogółem tom obejmuje 265 reprodukcji.

TEATR

Zespół węgierskiego państwowego Teatru Wiejskiego imienia wielkiego artysty i uczestnika wojny wyzwoleńczej lat 1848/49 — Gabora Ergösi — występuje obecnie we wsiach komitatu (województwa) Foyer. Niedawno wystawił on we wsi Mor klasyczną komedię węgierską Ede Szigligeti'ego. Było to pięciotysięczne przedstawienie tego teatru.

FILM

We wsiach bułgarskich rozpoczął się festiwal filmowy, zorganizowany przez Komitet do Spraw Kinematografii, Ministerstwo Rolnictwa i Komitet Centralny Dymitrowskiego Związku Młodzieży Ludowej. Festiwal ma na celu dopomożenie wsi w wykonaniu uchwały plenum Komitetu Centralnego Bułgarskiej Partii Komunistycznej w sprawie dalszego rozwoju rolnictwa.

Filmy zaznajomią chłopów, pracowników państwowych gospodarstw rolnych i ośrodków maszynowo-traktorowych z osiągnięciami radzieckiej agronomii i doświadczeniami przodowników rolnictwa i hodowli w ZSRR i krajach demokracji ludowej.

MUZYKA

Życie wsi i jej praca, jej przeszłość i jej pieśń coraz częściej stają się tematem kompozycji muzycznych. Z okazji niedawnego II Tygodnia Muzyki Węgierskiej zademonstrowano szereg nowych utworów nawiązujących do tej tematyki. Jedną z najwybitniejszych pozycji Tygodnia była suita na wielką orkiestrę symfoniczną o bojowej przeszłości ludu węgierskiego, skomponowana przez laureata Nagrody Kossutha, Ferenca Szabó. Szabo jest znany w Polsce między innymi jako autor muzyki do filmów „Gesiarek Matyi" i „Burza". Z licznych utworów na chór na pierwsze miejsce wybija się „Osierocony ptak", oparty na motywach pieśni ludowej. W ogóle, wśród pięćdziesięciu kompozycji chóralnych oraz kantat figuruje bardzo znaczna ilość przeróbek pieśni ludowych. Zainteresowanie kompozytorów węgierskich tą dziedziną twórczości ludowej sięga nawet poza granice kraju. Jedna z kantat, składająca się z czterech części, nawiązuje do albańskiej pieśni ludowej. Z innych pozycji Tygodnia na uwagę zasługuje operetka Otto Vincze pt. „Boci Boci tarka" także o tematyce wiejskiej.

Również i w Rumunii skomponowano ostatnio szereg nowych utworów muzycznych, opierających się na podobnych zagadnieniach. Tak np. znany kompozytor, Sabin Dragoi, po zapoznaniu się z życiem robotników leśnych, poświęcił im oratorium pt. „Opowieść o sośnie". Inny kompozytor, Teodor Grigoriu, napisał ciekawy kwartet na tematy ludowe.

LECZNICTWO

Na wsi rumuńskiej funkcjonuje obecnie 2 tys. przychodni. Oprócz tego ludność wiejska korzysta z tysięcy żłobków, izb porodowych, ambulatoriów i szpitali. W ciągu ostatnich pięciu lat liczba lekarzy wzrosła dwukrotnie. Śmiertelność dzieci osiągnęła w roku 1953 najniższy poziom, jaki kiedykolwiek był w Rumunii rejestrowany.

Wicepremier i minister rolnictwa Węgierskiej Republiki Ludowej, Andras Hegedüs, udekorował odznaczeniami państwowymi szereg lekarzy weterynarii za wybitne osiągnięcia w zwalczaniu chorób zakaźnych u zwierząt.

KADRY

Podjęta w ubiegłym roku przez Komitet Centralny Węgierskiej Partii Pracujących i Radę Ministrów Węgierskiej Republiki Ludowej uchwała „O rozwoju produkcji rolniczej" przewiduje między innymi przesuwanie fachowców z wykształceniem rolniczym, pracujących dotychczas w administracji rolnictwa, do bezpośredniego kierownictwa produkcją rolną, jak również wzmocnienie kadr rolniczych specjalistami z przemysłu. Uchwała partii i rządu znalazła gorący odzew, zarówno pomiędzy fachowcami rolniczymi, jak i wśród robotników przemysłowych. Prasa węgierska codziennie publikuje nazwiska agronomów, zootechników, inżynierów i robotników, wyrażających pragnienie pracy na wsi. Wielu z nich jest pracownikami Ministerstwa Rolnictwa, Ministerstwa Skupu, jak również organów administracji rolnictwa I i II instancji. Pomiędzy inżynierami i robotnikami przemysłowymi, udającymi się do pracy w ośrodkach maszynowych i gospodarstw państwowych, wielu już dawniej pracowało w rolnictwie, przechodząc później do przemysłu. Jest jednak sporo i takich, którzy dotychczas zatrudnieni byli tylko w przemyśle, a obecnie, po opublikowaniu uchwały partii i rządu, zdecydowali się rozpocząć pracę na wsi.

Nowi pracownicy rolnictwa otrzymują przed wyjazdem jednorazowy zasiłek w wysokości trzymiesięcznych poborów oraz zwrot kosztów podróży do miejsca przeznaczenia. Mają oni na miejscu zapewnione mieszkania i niezbędne warunki życiowe.

Również i Bułgarska Partia Komunistyczna wezwała specjalistów-rolników do podjęcia pracy w spółdzielniach produkcyjnych, w ośrodkach maszynowych i państwowych gospodarstwach rolnych. Na apel partii odezwały się setki specjalistów. Do Ministerstwa Rolnictwa napływa wiele listów od fachowców z wykształceniem rolniczym, pracujących obecnie w mieście. Niedawno ponad 320 agronomów, weterynarzy i zootechników zwróciło się z prośbą o skierowanie ich na wieś.

(k)

KAZIMIERZ DĘBNICKI

Sprawy międzynarodowe

Nie należy być głuchym

POZNAŁEM kiedyś starszego pana, obarczonego ciężką głuchotą. Posługiwał się specjalnym mikrofonikiem bateryjnym, umożliwiającym przyjmowanie wrażeń słuchowych. Od czasu do czasu jednak, w trakcie ożywionej nawet rozmowy, człowiek ów wyłączał swój mikrofonik. Zapytany o powód takich gwałtownych przerw w słuchaniu, wyjaśnił krótko:

— Jak mi się nie podoba to co oni mówią, wyłączam po prostu mikrofon. I już nic nie słyszę.

Przypomina to pana Dullesa i niektórych innych polityków USA, którzy przestają słyszeć i słuchać tego, co im się nie podoba, choćby chodziło o najbardziej uznane prawdy. Co gorsza, nawet jeśli słuchają — starają się nie rozumieć, czego już o moim znajomym powiedzieć nie można. Był to bowiem człowiek wysokiej inteligencji.

Pan Dulles na krótko przed rozpoczęciem konferencji berlińskiej ministrów spraw zagranicznych Anglii, Francji, USA i Związku Radzieckiego oświadczył np., że jego rząd nie jest gotów zgodzić się na propozycję przewodniczącej Zgromadzenia Ogólnego ONZ pani Pandit (Indie), która pragnęła zwołać sesję Zgromadzenia na dzień 9 lutego dla rozpatrzenia kwestii koreańskiej.

Tak więc chociaż z winy USA sytuacja koreańska — po bezprawnym przekazaniu jeńców chińskich i północno-koreańskich stronie napastniczej — uległa poważnemu zaostrzeniu, chociaż dla usunięcia tego zaostrzenia Indie, Związek Radziecki, Polska i wiele innych państw, łącznie stanowiących większość ludzkości, zażądały zwołania sesji ONZ — p. Dulles nie chce słyszeć i nie chce rozumieć, a natomiast zdradza wyraźną chęć sabotowania wszelkich prób odprężenia.

Otoskleroza (głuchota na tle sklerotycznym) to oczywiście przykra i ciężka choroba. Znajomy, o którym wspomniałem na wstępie, zdaje sobie sprawę z przykrości wynikających z jego cierpienia. Polityczna otoskleroza, polityczna głuchota, przejawiana przez pana Dullesa, jest rzecz jasna dużo poważniejszym cierpieniem. Jej skutki, kłopoty z niej wynikające, obciążają bowiem narody, które chcą żyć w pokoju i szczęściu. Narody, które nie są ani głuche, ani nierozumne, ale które z wiarą i w napięciu oczekiwaniu śledziły przygotowania do berlińskiej konferencji, i które z wytężoną uwagą śledzą jej przebieg.

Głuchota pana Dullesa tak dobitnie zamanifestowana w przeddzień konferencji świadczy wyraźnie, że nadzieje narodów, a plany Dullesów — to różne sprawy. Należy jednak sądzić, że pan Dulles będzie musiał ustąpić przed wolą narodów, wolą wyrażoną jasno w polityce ZSRR, wolą, która w znacznym stopniu zmusiła polityków USA do zgody na berlińską konferencję.

Sytuacja, jaka wytworzyła się w obozie kapitalistycznym jest przy tym tego rodzaju, że ujawnione sprzeczności między Anglią i Stanami Zjednoczonymi, między Francją a USA działają na rzecz pokoju, na rzecz tej wielkiej sprawy, o którą walczą narody, a której p. Dulles i zrozumieć nie bardzo jest chętny i słuchać o niej nie lubi. Ale pytanie, czy długo uda mu się wytrwać w tej postawie skoro nawet jego burżuazyjni partnerzy, politycy francuscy i angielscy, przerażeni dyktaturą USA niszczącą suwerenność ich krajów, podcinającą korzenie ekonomiki narodowej, uderzającą w interesy wielu kół kapitalistycznych Anglii i Francji — w szeregu spraw są wyraźnie przeciwni polityce pp. Eisenhowera i Dullesa.

W centralnych zagadnieniach, jakie wypływać będą w Berlinie, a więc w sprawie Niemiec, w sprawie konferencji pięciu mocarstw (tj. łącznie z Chinami Ludowymi), w sprawie udziału Chin w ONZ, wreszcie w zagadnieniach azjatyckich w ogóle, w problemach rozbrojenia i energii atomowej — stanowisko pp. Edena, Bidault i Dullesa nie jest jednolite. Taki na przykład p. Bidault — chociaż osobiście gotów jest na wszelkie ustępstwa wobec rządu Adenauera — musi liczyć się z opinią większości narodu francuskiego, który, podobnie jak narody całej Europy, mówi planom amerykańskim i zachodnio-niemieckim — zdecydowane: nie.

Burżuazyjny dziennik paryski „Le Monde" pisząc o jednym z fragmentów tych planów, o tzw. „Układzie o Wspólnocie Węgla i Stali" — stwierdził 16 stycznia niedwuznacznie:

„Realizacja układu dotyczącego pierwszej wspólnoty europejskiej nie przyniosła spodziewanych rezultatów... Cofanie się i nieład widać wyraźnie w Belgii i Francji. Nowy system sprzyja tylko rozwojowi Niemiec zachodnich...

Czy rozpad Francji na rzecz Niemiec — kończy dziennik — ma być ceną na rzecz powodzenia pierwszego eksperymentu integracji Europy?"

Francuzi umieją rozumować logicznie. Szczycą się tym. I jasne, że dobrze rozumieją, iż wybór rodzaju śmierci — bo to im właściwie tylko pozostawiają plany p. Dullesa — jest nie do przyjęcia. Dla tej prostej przyczyny, że chcą żyć, że nie są skazańcami.

Dlatego nie chcą dopuścić, by pod szyldem obrony Francji przed zbrojnym najazdem niemieckim, dokonywano „pokojowego" mordu jej suwerenności narodowej. I wyraźnie o tym piszą. A p. Dulles choćby nie umiał słuchać — czytać chyba dobrze umie.

Warto więc, by poczytał, co Francuzi (i nie tylko Francuzi, bo Włosi, Belgowie, Anglicy) piszą, co piszą ludzie dalecy od komunizmu, ba, nierzadko komunizmowi wrodzy.

I jeżeli tego wszystkiego pan Dulles nie słyszy, nie widzi i nie rozumie — tym gorzej dla niego. Nie dla faktów. Fakty odbiją się wyraźnie w berlińskich dyskusjach, w których pozytywnym przebiegu narody świata są żywotnie zainteresowane.

To zainteresowanie walczących o pokój narodów, widzących i rozumiejących poważne różnice zdań, dzielące poszczególne rządy kapitalistyczne, niewątpliwie skłonić powinno pana Dullesa, by włączył swój mikrofonik, zaczął słuchać uważnie, postarał się zrozumieć. Tego sobie życzą wszyscy.

Kazimierz Dębnicki

NOWOŚĆ

MARIAN JANIC

Idą partyzanci...

„...Wsłuchajcie się w tę prostą partyzancką opowieść. Jest w swej prostocie piękna..."

Bogdan Czeszko (z przedmowy)

Stron 216 Cena zł 10,50

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

K 15367-1

LEOPOLD LEWIN

PRZED POMNIKIEM LENINA

Kopernik z niewzruszonych posad ruszył ziemię —
On ją pchnął, że po nowej orbicie pobiegła:
Nauczył ludzi zrzucać niewolnicze brzemię,
Nauczył, że ojczyzna to rzecz niepodległa.

Z wyciągniętą przyjaźnie ku nam ręką stoi,
A jego myśl pracuje za sklepieniem czoła,
By życie obrodziło wam, synowie moi,
Aby kraj was powitał jak radosna szkoła.

BRONISŁAW GAŁĘSKI

„Odróżniać chłopa pracującego..."

SPRAWA naszego oddziaływania na gospodarkę rolną; to sprawa niezmiernie złożona. Problematyka wsi przypomina dziś kłębek poplątanych nici, które trzeba uważnie i cierpliwie rozplątywać. Obok działających u nas coraz pełniej ekonomicznych praw socjalizmu, nie wygasły jeszcze prawa wyrastające z prywatnej własności środków produkcji, obok elementów świadomości socjalistycznej — kapitalistyczne tendencje i nawyki drobnych wytwórców.

Bez znajomości skomplikowanej ekonomiczno - społecznej struktury wsi, bez uwzględnienia różnolitości istniejących na wsi warunków i czynników, wzajem na siebie oddziaływających i ściśle z sobą powiązanych, rodzenia się i rozwoju jednych a zanikania innych, nie podobna ani prawidłowo ukazać istniejących na wsi konfliktów, ani w sposób słuszny ich rozwiązać. Przeciwnie, każde nasze posunięcie na wsi może wywołać skutek z gruntu odmienny aniżeli zamierzaliśmy, jeśli zostawimy go żywiołowej grze sił, a nie oprzemy o polityczną aktywność mas pracujących chłopów.

W tym skomplikowanym labiryncie problematyki wsi okresu przejściowego, dał nam Lenin — stojąc u progu tego okresu — niezmiernie jasną wskazówkę postępowania.

Lenin pisał: „proletariat winien odróżniać chłopa pracującego od posiadacza — chłopa pracownika od chłopa „handlarza" — chłopa, żyjącego z pracy rąk swoich, od chłopa spekulanta. W tym rozgraniczeniu tkwi CAŁA ISTOTA socjalizmu"*.

Wskazanie Lenina jest niezwykle bogate i wielostronne. Mieści się w nim i znane stwierdzenie Lenina o „dwóch duszach" chłopa-średniaka, duszy człowieka pracy— sojusznika klasy robotniczej i duszy sprzedawcy zboża — drobnego wytwórcy, ożywionego tendencjami kapitalistycznymi. Wskazówka ta mówi i o tym, że powinniśmy myśleć o gospodarce chłopskiej nie tylko wtedy, gdy chłop przywozi zboże do punktu skupu, ale już wtedy, gdy trzeba przygotować GOM do wiosennej akcji siewnej.

Przyjrzyjmy się wskazaniu Lenina w działaniu na przykładzie pracy GOM. Gminne ośrodki maszynowe są ważnym czynnikiem pomocy niesionej chłopu jako wytwórcy. Zbliżają go do państwa ludowego, do klasy robotniczej, podtrzymują w nim duszę człowieka pracy, są więc mostem do gospodarki socjalistycznej. Maszyny GOM podnoszą wydajność pracy w gospodarstwach chłopskich, ograniczają kułacki wyzysk biedoty, wprowadzają do gospodarki chłopskiej postęp techniczny i związane z nim elementy kooperacji pracy.

Obserwować można jednakże w niektórych terenach jak GOM zostawiony przez aktyw gminny i gromadzki samemu sobie, nie realizuje tych zadań.

Popatrzmy na liczby. Biorąc np. we Wrocławskiem chłopów średniaków donajmujących w ogóle młocarnie za 100 stwierdzimy, że w r 1949/50 91 gosp. korzystało z usług GOM, w r. 1950/1 82, a w 1951/2 — 62 (dane zestawiam na podstawie zapisków chłopów, prowadzących rachunkowość według wzorów IER).

Skąd ten spadek zainteresowania chłopów-średniaków w stosunku do GOM? Stąd, że aktyw terenowy nie potrafił dostrzec chłopa jako wytwórcy, nie dostrzegał również roli GOM w umacnianiu naszej więzi z chłopem jako człowiekiem pracy i lewacko przeciwstawiając zadania socjalistycznej przebudowy wsi zadaniom walki o produkcję w indywidualnych gospodarstwach chłopskich, dopuścił do pozbawienia GOM części młocarń i przekazania ich do POM. Osłabiło to naturalnie rolę GOM jako mostu do gospodarki spółdzielczej i nie przybliżyło lecz odepchnęło chłopów pracujących od niego, tym samym zmniejszyło możliwości rozwojowe spółdzielni produkcyjnych.

Gospodarstwa średniackie słabsze, które dotąd wiązały się z państwem i korzystały z pomocy produkcyjnej świadczonej przez GOM, zaczęły na nowo szukać maszyn kułackich i wpadły na nowo w zależność od kułaka.

Inne liczby: z badań ankietowych IER wynika, że w województwach centralnych korzysta z GOM 6 procent ogółu gospodarstw biedniackich, 25 procent ogółu gospodarstw średniackich i 43,5 procent ogółu gospodarstw kułackich. Pomoc produkcyjną, jaką przez GOM państwo ludowe świadczy wsi, potrafił więc w wielu wypadkach przechwycić dla siebie kułak. Skąd to wynikło? Stąd, że aktyw terenowy potraktował w niektórych terenach pracę GOM bezdusznie, jako sprawę czysto administracyjną, nie potrafił oddzielić chłopa pracującego od chłopa posiadacza i wyzyskiwacza, i skierować pracy GOM na umocnienie związków chłopa pracującego z państwem a zarazem na umocnienie w nim duszy człowieka pracy. Kułak pracował maszynami GOM a swoje maszyny wypożyczał niejednokrotnie biedocie za odrobek.

Marian Wnuk

Rzecz jasna, że na taką sytuację w niektórych terenach wpłynęło wiele czynników. Nieskoordynowanie pracy GOM z pomocą sąsiedzką, zmusiło biedniaka do szukania konia w gospodarstwie kułackim, a z koniem i maszynę pożyczał od kułaka — nie w GOM. Wpłynęło tu i niedostateczne wyposażenie GOM w maszyny rolnicze o trakcji konnej, takie więc, jakich szuka chłop, gospodarujący indywidualnie. Nie rozbudzono aktywności biedoty, nie zorganizowano współdziałania pracujących chłopów, niezbędnego dla wykorzystania tych większych motorowych maszyn, które wymagają większej obsługi (kopaczki) itp. i zespołu dla ich wykorzystania. Najgłówniejszy jednak z czynników, który zaważył na sytuacji, to brak pracy politycznej, brak wprowadzenia w życie wskazówki Lenina „Odróżniać chłopa pracującego od chłopa posiadacza"...

Wytyczając zadania państwa socjalistycznego już w pierwszych latach budownictwa socjalizmu Lenin nakreślił drogi i sposoby przeobrażenia drobnych wytwórców-chłopów w członków społeczeństwa bezklasowego. Wskazania Lenina nie są receptą ani regulaminem — są wytyczną działania, której nie wystarczy się nauczyć, lecz którą trzeba się posługiwać, uwzględniając całą różnorodność warunków, całą wielostronność problematyki.

Sojusz robotniczo-chłopski jest porozumieniem, osiąganym w walce. Każde z naszych posunięć na wsi — GOM, kontraktacja, pomoc sąsiedzka itp. — umocni chłopa człowieka pracy i stanie się dlań mostem do gospodarki uspołecznionej, jeśli będzie ono zarazem instrumentem walki przeciwko chłopu spekulantowi, przeciwko chłopu żyjącemu z wyzysku. W walce tej odgrywają rolę wszystkie czynniki polityczno - ekonomiczne i kulturalne.

Odróżniać chłopa pracującego od chłopa posiadacza, umacniać w chłopie duszę człowieka pracy, zbliżyć go do klasy robotniczej, do państwa ludowego, to wskazane nam przez Lenina zadanie, określa całą naszą bieżącą działalność na wsi.

Bogusław Gałęski

*) W. Lenin — Dzieła wybrane t. II str. 619 — Książka i Wiedza, Warszawa 1949.

NATAN RYBAK

RADA PEREJASŁAWSKA

— Na wieki będziemy zjednoczeni z narodem rosyjskim! — zawołał na całe gardło Hulaj - Deń, sam nie poznając swego głosu; albowiem czy to wskutek wiatru, czy też na skutek mrozu głos ten rzeczywiście jakby nie był jego głosem: rozlegał się teraz dźwięcznie i mocno, głuszący wszystkie inne głosy.

Zgromadzeni pułkownicy spojrzeli w stronę kozaka, zaś hetman zatrzymał na nim swe bystre spojrzenie. Że więc i on zwrócił nań uwagę, serce Hulaj-Denia doznało nagłego przypływu ciepła.

Płatki śniegu topniały ludziom na ustach i drgały na rzęsach oczu. Wiatr pochylał sztandary i unosił płynące nad soborem chmury. Spod osiadającego na kopułach świątyni śniegu łagodnie lśniło złoto krzyży.

Majdan szumiał; wypełniając się rozgwarem głosów, żył jedną wolą, jak gdyby płynął przez stepy w daleką nęcącą drogę — ku jasnym horyzontom.

— Będziemy! — wołali kozacy, mieszczanie i pospólstwo, setnicy i porucznicy, kupcy i pułkownicy. Cały majdan, wszyscy zgromadzeni nie odrywali oczu od wzniesienia, na którym Bohdan Chmielnicki uniósł nad głową hetmańską buławę i w momencie gdy nad placem zaległa uroczysta cisza, zawołał donośnym głosem:

— Odtąd na zawsze zjednoczeni z Moskwą!

— Na wieki! — rozgrzmiało po majdanie.

Ku górze, aż ponad sklepienia kopuł soboru — niemal ku wysokim złotym krzyżom — wzleciały czapki: czarne z długiej wełny, stare spłowiałe na wiatrach i słońcu, wysokie z siwych barankowych skórek, ozdobne z wierzchu czerwonym lub niebieskim suknem. Różnokolorowe jedwabne chustki-kitajki wzbijały się, opadały i ponownie wzlatały w górę. Powietrze drgało od salw armatnich, a z wszystkich dzwonnic Perejasławia rozlegały się dźwięki dzwonów.

Ciasno było sercom w piersiach. Hulaj-Deń mocno uścisnął dłoń Niczypora Hałajdy. Tuż przy nim jakaś wzruszona do łez kobieta w rozpiętej świtce uśmiechała się, uszczęśliwiona.

Pamięć na moment wskrzesiła przeszłość. Przed oczyma stanęły zasnute dymem i zroszone krwią pola bitewne, wały forteczne, szubienice, ostrokoły ustawione przed zamkami szlachty, a na nich—drgające w przedśmiertnych męczarniach pospólstwo. Więc budziła się w duszy głucha nienawiść za krzywdy i niedolę, za straszne dni upośledzenia i męki. Wszystko to zżymało serce, jak gdyby ktoś bezlitosny sypał sól na jego ranę.

Zanim powstawała nowa myśl, mroki przeszłości nawet teraz przesłaniały wywalczoną krwią radość, która przywiodła kozaka na perejasławski majdan poprzez bitwy i śmierć. Więc gdy umilkły działa i dźwięki dzwonów, wydało mu się, że jego myślom i nie wypowiedzianym jeszcze słowom dał wyraz hetman gdy stanął u brzegu wysokiego wzniesienia i z wyciągniętą ku północy buławą mówił:

— Ziściły się wiekowe marzenia nasze. Lecz czy to znaczy, że król i sułtan, że papież i jego jezuici, że cała szlachta, — zostawią nas w spokoju, pozwolą żyć tym życiem, któreśmy sobie wybrali? Czy ma to znaczyć, że możemy rozejść się do domów, orać swe niwy, wychowywać dzieci, sprawiać wesela? Czy ma to znaczyć, że możemy teraz bezpiecznie wyjeżdżać w daleką drogę, a pogrążając się we śnie — nie kłaść pod głowę pistoletu lub szabli — bez obawy o swe losy? Czy znaczy to, że gdy wschodzi słońce nie potrzebujemy się więcej niepokoić co nam przyniesie dzień, ani przykładać w drodze ucho do ziemi, by się upewnić, czy nie słychać z oddali tętentu pędzących koni? Czy może już matka w spokoju usypiać swe niemowlęta, bez obawy że ktoś zechce skrzywdzić jej dzieci?

Chmielnicki wstrzymał oddech i po chwili rzucił ostre, jak kozacka szabla, słowa:

— Nie! — i zaraz dodał: — Po tysiąckroć nie!

Na majdanie zaległa taka cisza, że słyszano w niej tylko szelest setek chorągwi. Hetman zaś, zwilżywszy językiem usta, ogarnął oczyma wypełnione tłumami pola. I wydało mu się, że dopiero teraz przypatrzył się zebranym na Radę Perejasławską przedstawicielom Ukrainy — ludziom, których wysłały tu setki pułków, miast, cechów i pospólstwo z najdalszych zakątków kraju.

Ludzie oczekują jego słów z zapartym oddechem. A sam on zdaje sobie sprawę, że trzeba im przecież powiedzieć, jak się wypadki potoczą dalej, w którą teraz stronę kierować kroki, czym żyć i na co liczyć.

Wkładając więc buławę za obcisły czerwony pas i rozstawiwszy ręce na poziomie ramion, ciska głośno na cały majdan:

— Nie! nie możemy złożyć zbroi ani rozejść się do domów! Lecz nie nam niepokoić się o dzień jutrzejszy i wypełniać trwogą własne serca! Poręką dla nas i przyszłych naszych zwycięstw nad okrutnym wrogiem jest obecna Wielka Rada. Przez wieki będą ją wspominać przyszłe pokolenia, nasze wnuki i prawnuki — wraz z nazwą tego miasta. Kiedyś, w dalekiej przyszłości zapyta dziecko swego ojca, czym była nasza Rada — i usłyszy odpowiedź: W Perejasławiu naród nasz ucałował krzyż i na wiarę złożył przysięgę przed całym światem i świętą ziemią naszą: na wierność i wierne poddaństwo wielkiemu carowi moskiewskiemu. W tym to mieście na wieki wieczne stanęliśmy ramię przy ramieniu z bratem naszym narodem rosyjskim i odtąd losy nasze są już wspólne: jedna jest u nas sól i jeden jest chleb, jedno słońce i jedna ziemia. Czy tak, kozacy?

— Taaak! — rozległy się głosy pośród tłumu.

— Prawdę mówisz, Chmiel!

— Mów dalej!

Hetman dał znak ręką i majdan znowu ucichł.

— I dlatego, że od tej chwili jesteśmy już silniejsi, nasi wrogowie staną się jeszcze więcej zawzięci. Będą oni zamyślać się nad tym, by ponownie nałożyć na nas jarzmo; będą starać się oderwać nas od bratniego narodu rosyjskiego — żebyśmy znowu zostali sami, żeby mogli oni znowu zapanować nad naszą ziemią, żeby nadal utrzymywać pospólstwo w pokornym poddaństwie, gnębiąc nasz kraj i pohańbienie mu niosąc. Nigdy jeszcze nie wychodziliśmy na przyjęcie boju z taką siłą i taką nienawiścią — na myśl o swoich wrogach. Albowiem staje teraz z nami bratni naród rosyjski, związany wspólnotą krwi i wiary; z nami jest Moskwa — stolica wszystkich ziem słowiańskich. Aby więc zapewnić naszemu krajowi pokój, żyć bez obaw o losy dzieci i matek naszych, stać się gospodarzami na własnych niwach — powinniśmy w bitwie zmusić nieprzyjaciela do opuszczenia naszych ziem i wyzbycia się na zawsze myśli o podboju naszej ojczyzny. Od tej chwili jesteśmy dla niego niedostępni i niezwyciężeni!

Chmielnicki gwałtownym ruchem wydobył zza pasa buławę i wskazując nią na zachód, zawołał:

— Strzeżcie się, wrogowie! Śmierć okrutnym wrogom ziemi ruskiej!

— Śmierć! — zagrzmiał majdan.

Błysnęły w powietrzu wydobyte z pochew szable. Uniosły się nad morzem głów kozackie piki i muszkiety. Spłoszone ludzkimi głosami zarżały konie.

Chmielnicki uśmiechnął się i potrząsając buławą, krzyknął:

— Dzwony w Perejasławiu biją tak mocno, że słychać je nawet w Rzymie! Zatańczy tam papież z jezuitami.

Cofnąwszy się o krok, hetman znalazł się w jednej chwili w kole pułkowników.

Tetera i Zołotarenko zeskoczyli ze wzniesienia. Na ziemi dołączył się do nich biskup perejasławski w asyście duchowieństwa. Duchowni, trzymając w ręku krzyże, poprzedzani przez czterech setników, obchodzili zwolna szeregi, zapytując:

— Czy chcecie być pod carem moskiewskim, żebyśmy odtąd zostali zjednoczeni z narodem rosyjskim?

— Chcemy!

— Chcemy!

— Żebyśmy byli zjednoczeni i na wieki razem pozostali!

— Boże, utwierdź!

Uroczyście i zdecydowanie wypowiadali te słowa kozacy i mieszczanie, ludzie cechowi i pospólstwo.

...Na perejasławskim majdanie olbrzymie tłumy. Łopocą na wietrze sztandary wszystkich pułków i chorągwie wszystkich secin i cechów.

Tłumaczył Stanisław Ziemak

Scena z opery „Bohdan Chmielnicki" granej w Teatrze Kijowskim Libretto napisali Wanda Wasilewska i Aleksander Korniejczuk

JÓZEF KOZŁOWSKI

Pisarz ludowego powstania

DLA masowego czytelnika polskiego imię wybitnego pisarza ukraińskiego — Michała Kociubyńskiego było do niedawna zupełnie nieznane. W Polsce przedwrześniowej nie wydano ani jednej jego powieści. Dopiero w Polsce Ludowej ukazała się w polskim przekładzie „Fata Morgana"*) Piękna ta książka po raz pierwszy zapoznała naszego czytelnika z twórczością znakomitego pisarza ukraińskiego.

Michał Kociubyński**) — demaskator ucisku i bezprawia, nieugięty orędownik walki o wyzwolenie ludu pracującego, zajmuje czołowe miejsce w literaturze ukraińskiej. Jego imię stawiane jest w jednym szeregu z T. Szewczenką, I. Franko, Lesią Ukrainką.

Rozkwit talentu Kociubyńskiego przypada na okres pierwszej rewolucji rosyjskiej (1905 — 1907). W okresie tym i w okresie bezpośrednio poprzedzającym rewolucję 1905 r. na Ukrainie szeroko rozlała się fala chłopskiego ruchu rewolucyjnego. Pisarz całkowicie stanął po stronie ludu. Mówi on o konieczności „ogólnego powstania, które zmiecie stary ustrój polityczny", wzywa lud do czynu: „Podnieś się ludu — pisze — sięgnij ręką po swoją prawdę. Jeśli sam nie weźmiesz, nikt ci jej nie da".

Wydarzeniom tym poświęca Kociubyński najlepsze swe utwory — „Śmiech", „On idzie", „Persona grata" i inne. Obnaża w nich zatrutą i fałszywą politykę caratu, który przy pomocy zorganizowanych czarnosicińskich pogromów usiłował odwrócić uwagę ludu, odciągnąć go od rewolucji, aby następnie rozprawić się z jego przywódcami. W utworze „Persona grata" pisarz wzywa do obalenia rządu carskiego z samym carem — wampirem ludu na czele.

Szczytowym osiągnięciem w twórczości Kociubyńskiego jest jego znakomita realistyczna powieść „Fata Morgana", składająca się z 2 części ***). Nie ma chyba w literaturze polskiej, ukraińskiej, czy też rosyjskiej dzieła, które by bardziej wnikliwie i realistycznie ujęło wydarzenia 1905 roku na wsi. Powieść osnuta jest na tle prawdziwego wydarzenia z okresu pierwszej rewolucji rosyjskiej, które miało miejsce we wsi Wychwostowo na Czernihowszczyźnie.

Głównym bohaterem „Fata Morgany" jest burzący się i powstający do walki przeciwko swym ciemiężycielom lud ukraiński. Płoną dwory obszarnicze. Niezwykle plastycznie maluje pisarz masowe akcje rewolucyjne: strajk, wiec, demonstrację. Przedstawiając walczące chłopstwo, Kociubyński daleki jest od sielankowego ujęcia zasadniczych problemów wsi. Pokazuje on wieś prawdziwą, wieś rozwarstwioną na dwa zwalczające się obozy: kułaków i biedotę.

W nakreśleniu tła swej powieści autor „Fata Morgana" szeroko wykorzystał dzieła Lenina w kwestii rolnej oraz artykuły dotyczące wsi, publikowane w prasie bolszewickiej.

Dlatego też ujęcie podstawowych problemów wsi przez Kociubyńskiego pokrywa się ze stanowiskiem partii bolszewickiej w tej kwestii.

Proletariusze wiejscy — bohaterowie „Fata Morgany" — żyją nadzieją na lepszą przyszłość, nadzieją na „Wolność i Ziemię", lecz ponura rzeczywistość za każdym razem obraca w niwecz ich marzenia; stąd też charakterystyczny tytuł powieści — „Fata Morgana".

Na czoło walczącej biedoty wiejskiej wysuwa się Marko Huszcza — rewolucjonista wiejski, wychowany i zahartowany przez proletariacki ruch rewolucyjny. Marko ma już za sobą szkołę i doświadczenie walki rewolucyjnej; za działalność socjalistyczną był już sądzony przez władze carskie i wysłany z Odessy. W działalności rewolucyjnej pomocna mu jest jego narzeczona Hafijka, która po jego aresztowaniu nadal prowadzi robotę rewolucyjną.

Z wielkim talentem i wnikliwą dalekowzrocznością polityczną przedstawił Kociubyński ruch chłopski, jego siłę i słabości, jego żywiołowość i chwiejność. Świadomość rewolucyjną do żywiołowego ruchu chłopskiego wnosi ruch robotniczy, reprezentowany w powieści przez Huszczę. Pisarz w zupełności podziela stanowisko partii bolszewickiej o hegemonii klasy robotniczej w burżuazyjno - demokratycznej rewolucji. Rewolucja 1905 roku została zdławiona przez carat i kapitalistów. Upadek rewolucji znajduje swe odbicie w zakończeniu „Fata Morgany"; powieść kończy się rozbiciem sił rewolucyjnych i krwawym samosądem kułaków nad rewolucyjnymi chłopami. Pomimo tragicznego zakończenia powieści, tchnie ona bojowym optymizmem i wiarą w ostateczne zwycięstwo ludu pracującego.

Kociubyński nosił się z planami napisania trzeciej części „Fata Morgany", o dalszych losach Marko Huszczy i jego towarzyszy, którym udało się ujść z rąk rozbestwionych kułaków. Choroba i przedwczesna śmierć nie pozwoliły jednak pisarzowi zrealizować jego zamierzeń. Historia sama dokończyła powieść Kociubyńskiego.

Dotychczas żyją we wsi Wychwostowo (obwód czernihowski) ludzie, którzy brali udział w wydarzeniach 1905 roku, opisanych przez Kociubyńskiego w „Fata Morgana". Byli oni naocznymi świadkami zmagań rewolucyjnych narodu ukraińskiego, przed jego wyzwoleniem.

Książka Kociubyńskiego odtwarzająca walkę chłopów ukraińskich z kułactwem jest dla naszego czytelnika wiejskiego aktualną lekturą, pomocną w walce o przeobrażenie wsi polskiej. Czytelnik wiejski oczekuje nowego nakładu tej książki.

Józef Kozłowski

*) Michał Kociubyński: „Fata Morgana" przekład Jerzego Jędrzejewicza — „Książka i Wiedza" 1951.

**) Ur. 17.IX.1864 r. w Winnicy, zmarł 25.IV.1953 r. Prześladowany przez policję carską, znajduje się aż do rewolucji pod nadzorem policji. Przyjaciel Gorkiego.

***) Część pierwsza napisana została w r. 1903, cz. druga — w r. 1910.

BOLESŁAW CWIECIŃSKI

SPRAWY KULTURALNO-OŚWIATOWE W PGR

Ilość świetlic w PGR w całym kraju sięga dziś około czterech tysięcy. Do ich powstania i urządzenia przyczyniły się w poważnym stopniu wysokie sumy przeznaczone na ten cel przez Ministerstwo PGR.

Mimo corocznego preliminowania setek tysięcy złotych, mimo znacznych niewątpliwie wysiłków Zw. Zaw. Prac. Rolnych w zakresie organizacji pracy kulturalno-oświatowej w świetlicach PGR — stan jest niezadowalający. Bardzo bliskie prawdy byłoby stwierdzenie, że praca kulturalno-oświatowa w PGR jest w zasadzie nadal zagadnieniem sprowadzającym się do nieporadności i błędów organizacyjnych.

Zanim umotywujemy powyższe stwierdzenie, poznajmy się z liczbami, które całą sprawę bliżej nam scharakteryzują. Zw. Zaw. Pracowników Rolnych posiada w całym kraju 4.135 świetlic, z czego prawie 4.000 w PGR. W woj. poznańskim np. jest 625 takich świetlic, w koszalińskim — 396, w olsztyńskim — 422...

Liczby, zdawałoby się, pocieszające. Ale np. w woj. wrocławskim na 717 świetlic, w PGR tylko 140 spełnia swoje zadania. W okręgu bydgoskim na 262 — czynnie pracuje około 100. Takie proporcje są właściwe, niestety, dla wszystkich województw.

Tym stanem rzeczy w Ministerstwie PGR zasadniczo nikt się nie interesuje, bo — jak mi oświadczono — „Ministerstwo nie jest powołane do kontrolowania Zw. Zaw., który organizuje życie świetlicy."

Nie wyczerpuje to jednak sprawy. W wielu bowiem wypadkach u podstaw niepowodzeń pracy kulturalno-oświatowej w PGR leży niewłaściwe ustosunkowanie się do niej dyrektorów zespołów, kierowników PGR, aparatu administracyjnego — aparatu, który w całości podlega Ministerstwu PGR.

Oto parę przykładów: w okręgu łódzkim w świetlicy PGR Niwka urządzono... skład na zboże; w PGR Liszkowo, zespół Mrocza w okręgu bydgoskim, radio przeznaczone dla świetlicy zostało zainstalowane w prywatnym mieszkaniu kierownika gospodarstwa. **Bardzo często decyzją kierowników PGR, meble ze świetlic zabierane są do biur. Częste są wypadki, że majątki po otrzymaniu z Okręgowego Zarządu PGR funduszów na cele kulturalno-oświatowe, zwraca się do Okręgu z wnioskiem o zmianę tytułu inwestycyjnego. Tak np. Kaszubski — księgowy z PGR Marcinkowo Dolne, wystąpił z projektem przeznaczenia sumy przydzielonej na urządzenie świetlicy na „biurko dla wychowawczyni przedszkola oraz na urządzenia biurowe".**

Fakty te charakteryzują nie najlepszy styl pracy rad zakładowych i oddziałowych oraz komisji kulturalno-oświatowych; wystawiają też nie najlepsze świadectwo okręgowym zarządom Zw. Zaw. Prac. Rolnych i Leśnych; mówią również o organizacyjnej nieporadności Zarządu Głównego Zw. Zaw. Prac. Rolnych, który nie potrafił doprowadzić dotychczas do powstania przy wszystkich radach zakładowych i oddziałowych w PGR komisji kulturalno-oświatowych i tolerował istnienie komisji nie pracujących, fikcyjnych.

Zgódźmy się, że nie etatowi instruktorzy decydują o rozwoju pracy kulturalnej, lecz przede wszystkim efektywna praca komisji przy radach zakładowych i oddziałowych w każdym zespole PGR i w każdym gospodarstwie. Działalność instruktora zaś winna mieć na celu nasycenie pracy kulturalnej właściwą treścią i odpowiednimi formami — a nie zorganizowanie samej pracy (czego często, a niesłusznie oczekuje się od nich).

Dla zilustrowania roli komisji kulturalno-oświatowych sięgnijmy po przykłady do Olsztyna, gdzie w całym okręgu praca kulturalna zaczęła się rozwijać dopiero w tym roku — po zorganizowaniu komisji w każdym PGR.

W Okręgowym Zarządzie Zw. Prac. Roln. w Bydgoszczy wskazują mi 6 gospodarstw wyróżniających się w pracy kulturalno-oświatowej. Są to: Wichorze, Witosław, Ciechoradz, Kotowierz, Kruszliwiec i Świętosław.

Tak więc, dzięki zrozumieniu roli pracy kulturalnej przez kierownictwo PGR Witosław, dzięki powstaniu komisji kult.-oświat. i praw aktywu związkowego w tamtejszej świetlicy zorganizowano w krótkim czasie: 10-osobowy zespół muzyczny, 20-osobowy chóralny i 6-osobowy teatralny, 16-osobowy zespół taneczny i zespół czytelniczy. Zespoły artystyczne mają już za sobą 10 występów w okolicy.

Zespół Witosław dnia 1 czerwca ub. r. skierował do Okr. Zarz. Zw. Prac. Rolnych pismo szczegółowo informujące o pracy kult.-oświat. o jej założeniach i planie zajęć. W piśmie tym czytamy m. in.: ...„zespół Witosław pow. Wyrzysk wzywa do socjalistycznego współzawodnictwa na polu pracy kult.-oświat. wszystkie zespoły świetlicowe PGR w Polsce. Zasyłamy wam pozdrowienia i prosimy o odpowiedź drogą radiową, a Zarz. Gł. Zw. Zaw. Prac. Rolnych prosimy o powiadomienie wszystkich świetlic o powyższym wezwaniu..."

Dużo czasu upłynęło od wysłania tego listu z Witosławia... Dostatecznie dużo, by Zarząd Okręgowy i Zarząd Główny Związku Zawodowego

Pracowników Rolnych opracował odpowiedź.

W PGR Ciechoradz (zespół Zamek Bierzgłowski) spotkałem rzadkie zjawisko w życiu świetlicowym: brygadę agitacyjno-artystyczną. Jej praca jednoczy wiele form i środków działalności kulturalnej. Zespół istnieje 2 lata, pracuje nieprzerwanie zimą i latem. Prowadzi go księgowy, tow. Roman Kreft. Osiągnięcia zespołu uwarunkowane są nie tylko zapałem młodzieży, lecz i opieką kierownictwa PGR, tow. Feliksa Zalewskiego, I sekr. org. part. tow. Kury, przewodniczącego rady oddz. przodownika pracy — tow. Antoniego Witkowiaka. Harmonijna ich współpraca może służyć innym PGR za wzór do naśladowania.

Do współzawodnictwa na polu pracy kulturalnej przystąpiło w okręgu olsztyńskim 28 świetlic, 9 z nich wybitnie wyróżnia się osiągnięciami w zakresie szkolenia, samokształcenia, zajęć artystycznych, czytelnictwa, redagowania gazetek ściennych i „błyskawic". Bibliotek świetlicowych w PGR jest ogółem 98, amatorskich zespołów artystycznych 37, w tym 5 muzycznych, 6 chóralnych, 8 tanecznych i 18 dramatycznych. W roku bieżącym rozpoczęło pracę 17 nowych świetlic.

Ale i w tych pozytywach jest przykra niespodzianka; bo przecież w okręgu olsztyńskim istnieje w PGR ogółem 349 świetlic... Nasuwa się oczywiście pytanie, dlaczego nie pracują pozostałe świetlice, skoro w każdym PGR istnieje komisja kulturalno-oświatowa? Otóż dlatego, że komisje te pozbawione są potrzebnej opieki i pomocy ze strony związku.

*

Analiza pracy kulturalno-oświatowej w PGR przeprowadzana przez Wydział Kulturalno-Oświatowy Zarządu Głównego Związku Zawodowego Pracowników Rolnych daje **pewną gwarancję, że deficyt kulturalny i oświatowy w PGR może być zlikwidowany.** Niezależnie jednak od bardzo dodatnich momentów tej analizy chciałoby się zauważyć, że w stosunku do ogromu zadań i licznych trudności wydaje się ona zbyt wąska i częstokroć zbyt ogólnikowa.

Jest rzeczą konieczną, aby Zarząd Główny Zw. Zaw. Prac. Rolnych postarał się zmienić w zasadniczy sposób styl pracy rad zakładowych i oddziałowych.

Jedną z bardzo potrzebnych form opieki nad komisjami kulturalno-oświatowymi jest wydanie przystępnej, wyczerpującej, opracowanej na podstawie dotychczasowych doświadczeń broszury instruktażowej o zadaniach tych komisji, broszury przystosowanej do pewnej odmienności terenu, uwzględniającej zadania, warunki i formy pracy w różnych porach roku.

Wydaje się następnie, że pewną pomoc mogłoby okazać przyjęcie zasady kierowania etatowych instruktorów do zespołów PGR, a nie do gospodarstw, jak to czasem ma miejsce.

W związku z przytoczonymi na wstępie przykładami, wydaje mi się słuszne wysunięcie wniosku pod adresem Ministerstwa PGR, aby dla zapobieżenia wypadkom niewłaściwego, bezdusznego ustosunkowywania się kierownictwa PGR do pracy kult.-oświat. Ministerstwo opracowało szczegółową instrukcję dla podległego sobie w terenie aparatu, w sprawie należytego jej traktowania. Do pisania o uchybieniach i osiągnięciach w tym zakresie niewątpliwie jest powołany tygodnik Min. PGR i Zarz. Gł. Zw. Zaw. Prac. Rolnych „Robotnik Rolny". Przy okazji nie można pominąć milczeniem faktu, że tygodnik ten zajmuje się dotychczas zagadnieniem pracy kulturalnej w PGR niewystarczająco, płytko i raczej zdawkowo.

Ministerstwu PGR i Zarz.Gł. Zw. Zaw. Prac. Rolnych podaję wreszcie do rozpatrzenia wniosek wspólnego opracowania w terenie rozdzielników sum przeznaczonych na świetlice.

Na zakończenie warto jest przypomnieć, że po VII Plenum KC PZPR krajowa narada w sprawie udziału związków zawodowych w akcji łączności z wsią postawiła przed całym związkowym aparatem kulturalno-oświatowym zadanie wzmocnienia opieki nad świetlicami PGR, zobowiązując specjalnie związki zawodowe: nauczycielstwa, państwowców, handlowców, pocztowców oraz powiatowe i wojewódzkie domy kultury — do roztoczenia stałej i systematycznej opieki nad świetlicami PGR.

Bolesław Cwieciński

ROMAN SEGIT

Z GÓRY I Z DOŁU

Jestem nauczycielem wiejskim, który niejednokrotnie wykorzystywał materiały z tygodnika „Wieś" na lekcjach. Z krytyki ob. Bartelskiego wynikałoby, że zasadnicza treść artykułów „Wsi" była w większości nieudana i nietrafna. Jeżeli więc często w pracy lekcyjnej posługiwałem się tygodnikiem „Wieś", czyżby należało wyciągnąć wniosek, że lekcje były chybione, nieudane, niewychowawcze?

Pamiętam nawet sprzed pół roku, jak bardzo były zasłuchane dzieci, kiedy czytałem artykuł Louis Taruc: „Mój naród będzie wolny". Mówiliśmy właśnie o walkach wyzwoleńczych ludów kolonialnych. Artykuł stanowił wymowną ilustrację dla problemu. I nie było żadnej co do tego wątpliwości, że lekcja spełniła swoje zadanie.

Przypominam sobie również jak duże wrażenie wywarła na moich wychowankach lekcja, na której omawialiśmy zagadnienie czytelnictwa książek radzieckich. Wielką przysługę oddał nam artykuł Bronisława Gołębiowskiego „Książka radziecka na polskiej wsi",

W pracy z komitetem rodzicielskim niemałą rolę odegrały artykuły takie, jak „Zbudujemy nową szkołę", który pokazywał co może zdziałać zorganizowana inicjatywa chłopów, inwestujących na cele oświatowo-kulturalne. W pracy nauczyciela — takie, jak „Sprawa Jarmuły" albo „Józef jest nauczycielem", które wskazywały jak pogodzić walkę o wysoki poziom nauczania z troską o wpływ gromady.

Trudno rzecz prosta, wyliczyć wszystkie artykuły, które dopomagały nam w pracy kulturalnej na terenie gminy. Niemal każda wypowiedź bibliotekarza, zamieszczana we „Wsi" zawierała cenne, nowe, nieznane nam jeszcze formy pracy z książką w terenie. Nie ma u nas takiego drugiego pisma, które upowszechniałoby tak szeroko szczytowe osiągnięcia aktywistów.

Osobiście korzystałem również z recenzji we „Wsi". Nie zawsze jest czas, aby każdą przychodzącą do biblioteki książkę przeczytać. A że trzeba na wsi sygnalizować książki, recenzja więc oddaje nieocenione usługi. Prawda, że przed rokiem „Wieś" znacznie lepiej informowała o książkach — również czytelnicy często się o nich wypowiadali. Trzeba ten dział podnieść i rozwinąć.

Dziwi mnie dlaczego ob. Bartelski zaniedbaną i trudną sprawę kolportażu „Wsi" przedstawił jako argument przeciw pismu, zamiast wypowiedzieć się, jak ktoś, kto czuje się odpowiedzialny za to, że „Wieś" za mało jest czytana. To fałszywe ujęcie zagadnienia przez Bartelskiego uprzytomniło mi właśnie, że i ja powinienem się czuć odpowiedzialny, chociaż nie napisałem ani jednego artykułu. Fakt, że w moim środowisku „Wieś" mało jest czytana, obciąża przede wszystkim mnie. Niestety, nie popularyzowałem u siebie tygodnika, ograniczając się do wykorzystywania „Wsi" w obrębie szkoły. Nie dostrzegłem prostej sprawy, że moi współtowarzysze — aktywiści gminni — to przecież najlepsi kandydaci na czytelników i korespondentów „Wsi"! Obojętnie patrzyłem na milczącego listonosza, który mógłby przecież walczyć o zdobycie prenumeratorów. Mam więcej grzechów. Nie popularyzowałem, ani analizowałem „Wsi" na nauczycielskich konferencjach sierpniowych, a można było przecież wykazać rolę tego tygodnika w dozbrajaniu naszego terenowego oświatowca. Wreszcie nie nawiązałem czynnej współpracy z redakcją.

Taki byłby rachunek moich grzechów wobec pisma.

Każdy czytelnik „Wsi" powinien walczyć o jak najszerszą jej poczytność. Nasza agitacja powinna jednak być zorganizowana. To znaczy działać na „dole" pod kierownictwem „góry". Na przykład — czy dla Min. Oświaty i ZNP nie powinna stanąć centralnie sprawa wykorzystania „Wsi" przez nauczycieli szkół wiejskich i liceów w miasteczkach? Nie chodzi o urzędowe zalecenie, ale o rzeczowe wskazanie nauczycielom przez Zarząd Główny ZNP, korzyści, jakie odniosą z czytania „Wsi" i współpracy z pismem. Nad tym powinny pracować okręgi; na powiatowych naradach aktywu nauczycielskiego należałoby analizować problemy nauczycielskie również na podstawie „Wsi" i propagować pismo,

Organizacje i „piony", obejmujące inne grupy działaczy wiejskich, powinny podobnie podjąć propagandę pisma.

Sama zaś redakcja — przy takiej współpracy z odpowiednimi resortami i organizacjami — mogłaby rozwinąć szerzej publiczne dyskusje wokół wielu zagadnień węzłowych w pracy terenowego aktywu kulturalnego, mogłaby organizować dużo aktualnych konkursów i urządzać zjazdy współpracowników — korespondentów poszczególnych grup działaczy,

Roman Segit

„Wieś" w ocenie czytelników (5)

JÓZEF CZOSNYKA

Organizator prac działaczy kulturalnych

Czytelnikiem tygodnika „Wieś" zostałem niedawno. W pierwszych dniach listopada, wracając z gminy odległej od naszego PGR o 20 kilometrów, zatrzymałem się w miasteczku Resko (powiat Łobez). W kiosku GS obejrzałem tytuły czasopism. Obok „Chłopskiej Drogi", „Gromady", „Przyjaciółki" i dzienników, zobaczyłem „Wieś". Był jeden numer. Zaciekawiony, kupiłem. Po raz pierwszy miałem w ręku to pismo.

Lektura „Wsi" pochłonęła mnie od razu i dzisiaj cieszę się, że jestem jej stałym czytelnikiem i prenumeratorem.

Cóż takiego trafiło mi do umysłu i serca? Przede wszystkim te artykuły, które mnie interesują o kulturze i życiu społecznym w gminie. Szczególnie artykuł tow. Andrzeja Topolskiego „Partia prowadzi" (Nr 43). Pokazywał on jak sekretarz Komitetu Gminnego prowadzi odprawę... Było to jakby posiedzenie sztabu. Przegląd sił bojowych i ogniw organizacji w gminie. Z dyskusji wyłoniła się ocena sytuacji w akcji skupu, ukazane zostały główne punkty do natarcia, środki i metody zmobilizowania biedoty, przegrupowania pomocy z jednych gromad do innych. Wielka nauka dla pracy polityczno-gospodarczej działacza gminnego.

Nie znam treści artykułu p. Bartelskiego z „Nowej Kultury", ale przeczytałem dokładnie dyskusyjne artykuły korespondentów „Wsi" tow. tow. L. Maja, J. Jelonka, T. Tomkiewicza, W. Kosobuckiego, St. Krakowiaka — i zgadzam się, że „Wieś" spełnia na wsi swoje zadanie. Różnorodność tematyki pisma jest właśnie jego wielką zaletą. Drukuje prawie o wszystkich ważniejszych zagadnieniach terenu ale w takim ujęciu i takiej kolejności, że nie ma mowy o galimatiasie, czy „niepotrzebności". Pismo jest jakby podręczną instrukcją dla wiejskiego działacza Partii, Samopomocy Chłopskiej, Frontu Narodowego, bibliotekarza, nauczyciela — słowem aktywisty, który nie zasklepia się tylko w pracy od „akcji" do „akcji" ale pamięta o ciągłości w realizacji generalnej linii Partii.

Rewolucja kulturalna na wsi — to nie tylko nowe szkoły, domy kultury, świetlice, zespoły artystyczne, prenumerata kilku pism, jak „Gromada", „Przyjaciółka"; do jej składowych części trzeba również zaliczyć to, że wiejski aktywista może mieć tygodnik społeczno-literacki „Wieś". Dlatego sprawa prenumeraty „Wsi" staje się tak ważna do załatwienia. Słusznie tow. St. Krakowiak pisze, że za mało jest troski ze strony placówek pocztowych o rozwój prenumeraty **„Wsi"**. Trzeba ażeby nie tylko ci, którzy sami przekonali się ile im w codziennej pracy daje „Wieś" prenumerowali ją i propagowali, ale konieczne jest aby pracownicy pocztowi zajęli się kolportażem „Wsi".

Nie tylko ja sam przekonałem się czym jest „Wieś". Podobnie moja żona, nauczycielka. Do niedawna czytała tylko „Przyjaciółkę", „Kobieta i Życie" oraz „Głos Nauczycielski". Kiedy kupiłem „Wieś" odnalazła artykuł o naszych rodzinnych stronach, o mającym powstać Wiejskim Teatrze Objazdowym w Tarnowie, drugi o przodującym rolniku Białasku (ze Zborowic), który napisał o „Kolchidzie" Paustowskiego piękny list, jakby adresowany do bohaterki tej powieści, inż. Niewskiej, pokazując, że nie z próżnymi rękoma podziwia przeobrażenie przyrody na Kolchidzie ale za przykładem radzieckim też przemienia rodzinną wieś. Tacy, jak on, wiele już zrobili w powiecie Tarnów.

Dlaczego te artykuły podobały się żonie? Bo one budzą miłość do swojego powiatu i dumę. Chłopi już interesują się nie tylko gromadą i gminą. Trzeba im przybliżać powiat. Wiele tu dokonały zjazdy przodowników skupu, nagrody konkursowe w skali powiatu (czytelnictwo, teatr, zespoły artystyczne) i gazety powiatowe.

Żonie mojej podobał się bardzo artykuł Barbary Lipińskiej „Malowana wieś Zalipie". Sama widziała wiele prac zalipiańskich artystek, o których i ja pisałem do „Gazety Krakowskiej" przed osiedleniem się na Ziemi Szczecińskiej.

Wielką rolę grają w rozwoju sztuki ludowej kobiety. Gdyby aktyw terenowy zadbał o twórczynie ludowe, wzbogaciłby i podniósł kulturę miejscową, a równocześnie pozyskał nowe kadry działaczek wiejskich.

„Wieś" porusza również sprawy ogólnokrajowej wagi. Toteż właśnie ze „Wsi" czytała żona naszej najstarszej córce wiersz Tuwima „Do córki w Zakopanem" a potem dziewczętom na wsi.

Na tle spraw terenowych wszystko inne nabiera we „Wsi" szczególnego znaczenia. „Połącz to twoje, miejscowe z tym co wybrano z kraju i ze świata. Połącz razem". Tak to odczuwa czytelnik tygodnika „Wieś".

Jako prenumerator „Wsi" będę się starał, aby pismo również zaprenumerowali moi koledzy i towarzysze z całego zespołu. Lektura „Wsi" pozwoli im na przezwyciężenie różnych przesądów, hamujących pracę w socjalistycznym rolnictwie i na podniesienie świadomości politycznej i ambicji kulturalnej, bo w PGR mamy obowiązek pokazać nowe życie socjalistyczne. Mamy obowiązek promieniować na okolicę.

Dawniej tylko marzeniem było to, co dziś mamy; ale powinniśmy chcieć więcej i lepiej. Pomocą dla nas, ludzi pracy nowej socjalistycznej wsi, jest nasza prasa, która zawsze i wszędzie winna nam pomagać, wskazując braki i niedociągnięcia, popularyzując dobre strony i osiągnięcia, ucząc myśleć dialektycznie, abyśmy nie błądzili w realizowaniu zadań partii. Tygodnik „Wieś" ma walory, które go stawiają na czele wiejskiej prasy jako organizatora prac działaczy wiejskich, — jak uczył tow. Stalin — i jako wiernego pomocnika partii.

Ale dlatego i od nas, czytelników ze wsi w dużej mierze zależy, aby „Wieś" sprostała temu zadaniu.

Józef Czosnyka
Łowiska (pow. Łobez)

JAN WRÓBLEWSKI

CZEKAM NA NOWĄ „WIEŚ"

W dyskusji, która rozwija się w związku z artykułem L. Bartelskiego „Czy wieś czyta „Wieś" (zamieszczonym w „Nowej Kulturze" w grudniu ub. roku) — drukowaliśmy już wypowiedzi Ludwika Maja („Wieś" nr 1), Jana Jelonka i Władysława Woroszyńskiego („Wieś" nr 2), Stanisława Krakowiaka, Tadeusza Tomkiewicza i Wacława Kosobuckiego („Wieś" nr 3), Moniki Warneńskiej, Stanisława Piętaka, Sergiusza Jaśkiewicza („Wieś" nr 4).

Obywatelu Redaktorze!... Dość trudno jest mi umiejscowić moją wypowiedź na tle tak skrajnej dyskusji, jaka rozegrała się między wystylizowanym atakiem Bartelskiego a ślepą obroną Maja, który z chłopską pasją rąbnął siekierą po sęku...

Jako pracownik kulturalno-oświatowy, stykając się ze wsią na co dzień, bezpośrednio, bardzo cenię samorzutną, pisaną jędrnym chłopskim językiem, pełną werwy wypowiedź L. Maja, gdyż zna on wieś lepiej niż literat Bartelski — ale nie podzielam w zupełności jego poglądów. Szlachetna to rzecz obrona, ale nie przed krytyką. I w tym wypadku — aczkolwiek nie wątpię w szczerość i prawdziwość faktów podanych przez Maja, jednak, gdyby na nich oparła się redakcja „Wsi", byłaby w grubym błędzie. Jedna jaskółka nie czyni wiosny — mówi stare ludowe przysłowie. A że w Myślenicach czytają „Wieś", to jeszcze nie wszystko.

Według Maja, Bartelski zaatakował nie „Wieś", lecz wieś — działaczy i aktywistów wiejskich. W samej „Wsi" nie ma żadnych niedociągnięć pod żadnym względem; wystarczy tylko ożywić kolportaż i wszystko będzie dobrze...

Nie wszystko...

Co do poczytności „Wsi": gdyby nawet postępować tak, jak niektóre GS-y, które sprzedają książki jako przymusowy dodatek do wiadra, nie rozwiązałoby się sprawy.

„Wieś" w początkowym okresie swego istnienia odegrała dużą rolę. Była kolebką dla wielu początkujących pisarzy ludowych, szczególnie w czasie istnienia Oddziału Literatów Wiejskich. Dla wielu była próbą sił młodej krytyki i publicystyki. Nikt nie myśli negować jej zasług. Ale odchowane przez kwokę kaczęta — pisarze popłynęli na szerokie wody („Nowa Kultura", „Życie Literackie", „Twórczość") Pozostał niewzruszony sztab redakcyjny i korespondenci.

Sądzę, iż po tylu latach istnienia i doświadczeń „Wieś" powinna obecnie sprecyzować i skorygować linię swojej działalności. Bo aktywista wiejski nie czyta tylko „Wsi". A dublować inne czasopisma nie ma sensu.

Bartelski — mimo, iż nie bez złośliwości — wskazuje punkt wyjścia. To rozszerzenie działu społeczno-kulturalnego. Redakcja „Wsi" ostatnio — w związku z IV etapem konkursu czytelniczego — sama wpadła na ten pomysł; istnieją jednak jeszcze większe możliwości.

Słusznie Bartelski powiada, iż brak jest pisma, które by — w sposób prosty, niezdawkowy i przystępny — kierowało życiem kulturalnym wsi, pomagało temu życiu przez publikowanie materiałów świetlicowych, oceniało wysiłki zespołów kulturalnych, wspomagało bibliotekarzy w propagowaniu książki, przyswajało zdobycze i piętnowało zaniedbania.

Tu może zaistnieć sprzeciw, iż „Wieś" wyręczałaby takie czasopisma, jak „Praca świetlicowa" i pisma bibliotekarskie. Nie ma obawy, gdyż poczytność tych pism jest jeszcze mniejsza niż „Wsi",

Rozmawiając z nauczycielami-bibliotekarzami pow. piskiego starałem się dowiedzieć, jak jest naprawdę z poczytnością „Wsi". Owszem, niektórzy nawet zetknęli się z tym pismem, inni widzieli je u kolegów. Ale w kiosku „Wsi" na lekarstwo nie znajdziesz. Wprawdzie w Olsztynie — mając czasem wyjątkowe szczęście — można nabyć jeden egzemplarz na stacji kolejowej, ale jeździć 100 km po gazetę, to trochę za wiele. Pozostała tylko prenumerata... Ale trudno kogoś namówić, kto na własne oczy pisma nie oglądał.

Cóż tu długo się rozwodzić! Moim zdaniem, aby wieś czytała „Wieś" należy:

1) rozszerzyć dział społeczno-kulturalny kosztem innych działów;

2) rozpocząć kampanię upowszechniania „Wsi" na wsi (zaopatrzyć kioski, centralnie zaprenumerować dla instytucji kulturalnych, związanych z odcinkiem wiejskim — przede wszystkim biblioteki i świetlice).

Mimo, iż jestem starym czytelnikiem, czekam na nową „Wieś"!!!

Jan Wróblewski
Pisz. woj. olsztyńskie

CZESŁAW SCHABOWSKI

REDAKCJA

Kiedyś oddawałem redaktorom „Wsi" „kobyły" na 20 — 25 str. maszynopisu. Redaktor krzywił się, palił fajkę (a raczej zapałki), czasem poskrobał się, jak „dworus" za uchem, i mówił:

— Ech, kolego! Gdybyście mogli dać nam coś takiego na 10 — 12 stron!

Brałem się w garść, harowałem, pociłem nad formą i tematem — aż wyszło mi pod „królewską miarę". Oddaję rzecz, a redaktor pyka fajkę, pali zapałki (pudełko za pudełkiem) i mówi:

— Za długie. Ot, gdybyście mogli dać nam coś na 7 — 8 stron!

Ja „apiać" do roboty. Zanim jednak opanowałem technikę 7-miostronicowego reportażu, przyszły nowe żądania:

— A czy nie spróbowalibyście tak pisać rzeczy do 4 stron?

Szły lata, rosły wymagania redaktorów co do „krótkich form", (felieton, humoreska, reportaż, list... dziennik). Doszedłem, wreszcie do tego, że w trudnym okresie akcji skupowej pisałem dla „Głosu Robotniczego" i „Wsi" — felietony na jedną stronę. Kiedy oddałem pierwszy raz tak krótki felieton, red. Jażdżyński rzekł mi:

— To dobre, ale... za krótkie gdybyście mogli rzecz rozbudować tak do 3 stron, byłoby jeszcze lepsze.

„A więc już nie „kobyła" ale „źrebak" „źrebaczek!" — pomyślałem!

W sumie muszę przyznać, że polityka redakcyjna „Wsi" wprowadza mnie w podziw! Żadnej kliki. Im więcej nazwisk w piśmie — tym chlubniej dla redakcji.

Wiele pism uznaje tzw. „gotowe nazwiska". Niektóre redakcje nie umieją „wychować" sobie kadr, narybku. Gdzie w Polsce druga taka szkoła „podstawowa" dla debiutanta, jak redakcja „Wsi"? Nawet Bartelski to potwierdza. Wiele dobrych rzeczy, drukowanych w „Nowej Kulturze" wyszło ze szkoły Plac Stacyjkiewicza 7. A gdy pomyślę nad tym, że na 600-tysięczną Łódź, w tutejszym Kole Młodych jest tylko kilku zapowiadających się na prawdziwych pisarzy, lecz w tym — nikogo, absolutnie nikogo, kto by do nas przyszedł wprost od warsztatu tkackiego — ogarnia mnie niepokój. Nie wierzę, aby w tej parusettysięcznej masie robotniczej nie tkwił jakiś nasz tęgi kolega! Niechże go redakcja „Nowej Kultury" wyłuska, jak „Wieś" potrafiła wyłuskać z mego środowiska porządny batalionik pisarzy, którzy w sumie mają już kilka dziesiątek niezłych pozycji. Stawiam nawet postulat, aby „Wieś" na zakończenie tej dyskusji imiennie pokazała ludzi, którzy z dołów weszli wprost do literatury — i jak się przedstawia obecnie ta kontynuacja. Moim zdaniem takie podsumowanie przyniesie nam wiele nowego.

Mam przed sobą numer „Twórczości" z ub roku z wierszami Seweryna Skulskiego, poprzedzonymi przedmową Anny Kamieńskiej. On też przeszedł tę szkołę.

Ważne jest i to, że redaktorzy „Wsi" potrafili, jak w moim np. wypadku, przekonać pisarza, że bez głębokiego sięgania w materiał i teren — trudno być pisarzem.

Czesław Schabowski.

STANISŁAW PIĘTAK

NAD PAMIĘTNIKIEM OJCA

I.

Byłeś ubogi, nie zbierałeś fotografii,
pism od rodziny, książek, ni innych pamiątek.
Kto zechce, do twej doli przez te karty trafi.
Zawarłeś na nich myśl i codzienności wątek.
Ręka sposobna do kielni, topora i pługa,
niepewnie chwytała lekkie, myłące pióro.
Snuła się przed oczyma zdarzeń droga długa.
Gdy chciałeś ją ująć w słowo, staczałą się burzą.
Niezdarne twe litery, gdy dzisiaj oglądam,
czuję ruch twego serca w nich jeszcze i troskę.
Historia wstaje na obcych morzach i lądach.
Nad nią jak topola cierpienie twe wyniosłe...

II.

Szesnaście lat skończyłeś ledwie, już za pracą
idziesz, z workiem na plecach przez pola i lasy.
Młode są oczy, więc cieszą się, gdy zobaczą
nowe wsie, wody i nawet bydło przy paszy.
San, Narew, Bug i w końcu zawsze wielka Wisła.
Flisaczy byt nie łatwo znieść, pęka znów skóra,
robactwo nad ogniem trzeba tłuc, choć śwista
zimno i niepogoda przetacza się jak góra.
A jednak i w tym czasie są minuty szczęścia...
Kęs pożywienia, śpiew zasłyszany za rzeką,
po którym krew w młodziutkiej piersi aż się spiętrza
i łzy nie ciążą przed snem zbolałym powiekom.
Jak pięknie ująłeś zachwyt nad mową ruską,
nad życiem, obyczajem obcego narodu.
Porównywałeś swojskię i spotkane gusła,
Choć dziecko, wielbiłeś już wtedy ludzki rozum.

III.

Do książki, do dyskusji garnąłeś się bardziej
niż do pogwarki u wrót, do prostej swawoli.
Nic dziwnego, że przechodziłeś lekko obok skargi
żony — nie pojąłeś nigdy, że życie twe ją boli.
Nie znała śmiechu, nie rozumiała oczu, które
szukają i w locie swym są nienasycone.
W boleści stała, jak matka wzgardzona pod murem.
Nie widziały nic jej myśli w przeszłości złożone.
Nie łatwe było życie wasze. Dni mijały
i rychło do izby napchało się biedy jak dymu.
Płacz, konwulsje ściskały ciało córce małej.
Nie czas było snuć dumy o drugim już synu.
— Ruszę, jak inni, za morze i wybrnę z nędzy...
Ta myśl nawiedziła cię raz, nie dała już spokoju.
Pożyczyłeś na lichwę od sąsiadów pieniędzy.
Pojechałeś bezbronny w obcy świat, jak do boju...

IV.

W pierwszym tygodniu podróży nie było jeszcze
zawodu. Śmiały się oczy ciekawe świata
i ludzi. Stał Hamburg omyty świeżym deszczem,
okręt jak ptak naprzeciw słońca biegł i lata.
Lecz noce, noce spędzane w parnej ciasnocie.
Od potu i wyziewów duszno w piersi i boleśnie.
Leżą biedacy na deskach w brudzie i błocie.
Ni westchnąć, ni pomarzyć głośno nikt już nie śmie.
A tymczasem w górze, na otwartym pokładzie
gra muzyka, drżą światła, skaczą w tańcu pary.
Ciało zasypia, lecz rychło na nie się kładzie
kamień buntu, żądający gniewu i kary.
I myślisz, że jesteś jednym z upośledzonych,
któremu historia da kiedyś broń do ręki,
by równał jak płaszczyznę ziemi świat i trony
i nie bał się w dążeniu swym ni krwi ni męki...

V.

O tym świecie, dokądś przybył, nic nie wiedziałeś.
O tym świecie roiłeś po nocach jak w bajce.
Cóż — nie cisza marzenia była ci udziałem
rychło, lecz troska, i do krwi spękane palce.
Dokąd jechać? New York, Kansas, Pittsburg, Chicago...
Wszędzie byłeś — i znikały słowa zachwytu
nad techniką, nad tempem życia. Nocny wagon
niósł w przestrzeń, lecz nie kołysał, drżał od krzyku,
że wyzysk i oszustwo — i nie ma, nie ma pracy!
Pod drzwiami fabryk trzeba stać na mrozie, na słocie
coraz częściej z sercem spuchniętym od rozpaczy,
jęczeć na myśl o głodnym do kraju powrocie...
Wreszcie praca! Wozisz taczki cementu w górę
po deskach z takim wysiłkiem, jakbyś pchał ziemię
całą, lub rozgarniał parną wilgoci chmurę,
stąpał przez wyostrzone na słońcu kamienie.
Pięćdziesiąt stopni żaru. I wargi są zlepione
i nogi ociekające potem jak wodą.
Raz wspinając się już na rusztowanie strome
runąłeś w dół i cement ciekł na twarz twą młodą...

VI.

Rok za rokiem. Jak chmury przepływają lata
prędko — i tylko coraz boleśniej myśl grzęźnie
w piersi i do snu trwożnego nawet kołata.
„Uciułać grosza, wracać, póki serce mężne.
Bo przecież może sił od mordęgi braknąć
i przyjdzie zginąć z dala od domu, od dzieci.
Będą chore, jak on dzisiaj i będą łaknąć
nauki, wiedzy — lecz nic życia nie oświeci...“
Więc przepaść — i lecisz w dół jak w dziecinnym łkaniu.
Ubyło lat, lecz czas przysporzył garbu plecom
i przypomnienia dni przerażają i ranią,
a szare oczy obco jak w gorączce świecą,
Pytali, czemuś rzucił Amerykę, czemu
poszedłeś do wojska bić się jak młodzik naiwny.
Kłamałeś cicho ludziom, ich oku chłodnemu,
a przecież odjazd przypominał ból maligny.
Bo chciało się zobaczyć swoich i ojczyznę
tak mocno, że rwał się sen i kilof szedł z dłoni.
I nawet w czas posiłku widziałeś płaszczyznę
kraju i czułeś, że nic, nic cię nie obroni.

VII.

Gdyś ogarniał po latach tamte dawne chwile,
to widziałeś je jakby za sobą, jakby w życiu
innego człowieka i dziwiłeś się sile,
która zgięła cię i rzuciła w świat jak nicią.
Więc najpierw powrót przez morza do Europy.
Ocean gnał, jak góry uwolnione z ziemi
i ciął kroplami deszczu, gradem, jak ukropem
i straszył dnem, gdzie ziały miny łbami swymi.
Więc najpierw obozy, ćwiczenia pod pogodnym
francuskim niebem i pieśń, co jak dłoń leciała,
kłoniąc się strumieniom i pannom urodnym,
że słońce, lato dojrzałe i chwała, chwała!
Więc... Nieba, grom uderzył, pełzną, ognie bitwy.
Wschodu ni zachodu dnia nie poznać, prą dymy
tylko, pociski urządzają w mgle gonitwy
i wybuchy gną przestwór od lęku nieżywy.
Ach, żar, ach, wizg, ach, usta pełne krwi i huku!
Dopadłeś okopów, lecz strąciły cię oczy
przerażone i ręka straszna w prośby łuku.
Zgiąłeś broń — i już przez rów tylko serce skoczy!

VIII.

Nie było w tobie temperamentu ułana.
Nie drżały w tobie łzy szczęśliwe z placu boju,
lecz pamięć buntem i boleścią poszarpana
i krew i pot ludzkiego, śmiertelnego znoju...
Górzyste krainy Francji są już wspomnieniem.
Wezbrane mrowiem żołnierskim pociągi pędzą,
szukają w zgiełku i w nocy ojczystej ziemi,
gdzie strumień lnu, żyta, łąki, cień nad grzędą...
Koniec! Kraj nareszcie, lecz nie wracasz do domu,
na front iść musisz przeciw ukraińskim chłopom
i znowu drętwieć po nocach od zwątpień ogromu,
lasy i bagna przemierzać struchlałą stopą.
Bo serce twe jest czujne ciągle i przeczuwa,
że bój nie z Ukrainą się toczy, lecz z chłopstwem,
takim samym, jak ty, które łzami popluwa
i żywi się chwastami łąk i gorzkim owsem.

IX

Lata najcięższe. Wróciłeś w końcu do domu,
lecz nie znalazłeś ciepła tam ni przyjaciela
i tylko lęk dzieci, płacz żony, ogień sromu,
co jak piła pamięć otwartą rozdziera.
Wierzyli, że z Ameryki wrócisz z bogactwem,
które ich życie nędzne, nieszczęsne przemieni,
a ty przybyłeś starością zgięty i robactwem,
z twarzą oniemiałą od grozy na kształt ziemi.
Lata najcięższe... Jakże zrozumiałaś rychło,
że nie o taką, jak jest, walczyłeś ojczyznę.
Dokoła wiejskie kułactwo bryzgało pychą,
śmiejąc się, szydząc szło po twoją ojcowiznę...
Lata, lata! Nie ma spoczynku, nie ma nocy.
Za broną, za pługiem chodzisz po błocie, po wodzie
bosy, głodny — i już nie widzą senne oczy,
że koń znów upadł, zieje krwią w miesięcznym chłodzie.
Praca miała dać grosz, miała dać wybawienie,
więc trzeba iść na zarobek — i znowu i znowu.
I nic, że codziennie buntuje się sumienie,
że jak głaz leży się bez czucia na dnie rowu
w południe, by zasnąć na chwilę. Bele drzewa
dźwigałeś na dachy domów, choć błyskawice
biły już i ciało raniła ulewa.
Choć śnieg i mróz, choć już nikły światła granice..
Znów zdarzyło się, spadłeś, myląc krok na ziemię.
Do domu ludzie jak zabitego cię nieśli —
i spływała krew z otwartych ócz, gdzie bruzd cienie —
i zwisła drżąc ciągle ręka, ręka cieśli...

X.

Patrz, kłębią się dni, gotują niedobrą zmianę.
Z buntu już śladu nie ma, krew i myśl wysycha.
Usiadłbyś tylko długo przy białej ścianie
i patrzył, jak stąpa przez świat pogoda cicha.
Jeśli do książki zaglądasz teraz, to po to,
by zaznać jedynie śmiechu i upojenia.
Myśli już nie szukają, gadki plotą
o duchach, ptakach, upiorach i żywych cieniach.
Ojcze, jednak i ten czas nie poszedł na marne,
bo przecież leżąc u stóp twych, synek mały,
zbierał w zachwycie dla przyszłej poezji karmę,
nad pięknem twego słowa drżąc z przejęcia cały.

XI.

Ocknęła się krew, myśl młodości raz ostatni
na starość. Było to już po morderczej wojnie.
Żyłeś wieścią, że faszyzm pada, ginie w matni,
a w Polsce wstają losy sprawiedliwe, wolne.
Znów jak do posiłku śpieszyłeś do dyskusji.
Codziennie niósł się twój głos przy bramkach i drogach.
Mówiłeś, że tylko ludzie na przyszłość głusi,
widzą w tym, co się tworzy, nie druha, lecz wroga.
Jak strzępki ciepła co wieczór niosłeś marzenie,
myśląc o Polsce przyszłej, o przemianach ziemi —
i żyłeś tym mocno, póki nie uszło tchnienie,
póki nie zżółkłeś z dłońmi na krzyż splecionymi...

Ojcze, gdy dziś twoje czyny w ciszy wspominam,
jakże mi szkoda twego życia, bo ostro widzę
jakiego pracownika straciła kraina
moja — i dawne prawa życia znów nienawidzę.
Ucząc się dziś w ludowej szkole, byłbyś może
konstruktorem lub twórcą słowa, jakich mało.
Twym nie urzeczywistnionym dziełom tu złożę
hołd, serce, co się nieraz o ciebie ściskało.

Stanisław Piętak

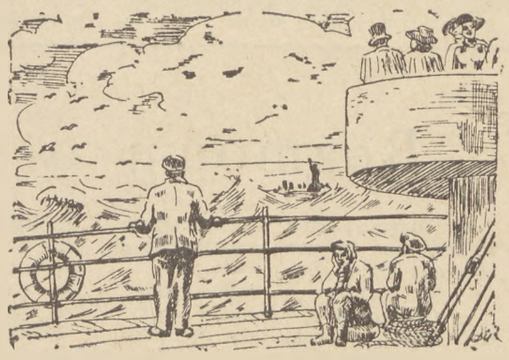

Rysunki, ilustrujące poemat Stanisława Piętaka wykonał Tadeusz Miedzianowski, artysta ludowy z powiatu lubartowskiego Wzruszająca treść poematu pobudziła go do odtworzenia dziejów tułaczki chłopa szukającego za oceanem pracy i chleba W rysunkach tych wiele jest błędów niedokładności a nawet naiwności — ale jest w nich cenne dążenie do realizmu do oddania prawdy historycznej.

OLGIERD TERLECKI

ZIĘĆ I TEŚĆ

Usiedli w rogu izby i odetchnęli z ulgą. Fale upału nie docierały do półmrocznego kąta gospody; było tu prawie chłodno. Karbowski wydobył czystą, starannie złożoną chusteczkę, i przetarł nią spocone czoło. Chusteczkę pieczołowicie złożył w regularny kwadracik i schował. Wyjął teraz krótką fajeczkę i przyjrzał się jej z namysłem.

— Gorąco, aż palić się nie chce. Koniusz uśmiechnął się.

— Ech! Można wytrzymać. Na Ukrainie, wiecie — tam dopiero żar! Za Charkowem, w stepie...

Rosła dziewczyna stuknęła kuflami o stół. Słysząc, o czym mówią, zatrzymała się obok, ale Karbowski popatrzył na nią tak niechętnie, że odeszła, wzruszając ramionami.

— Niechaj by posłuchała — ujął się za nią Koniusz. — Ludzie ciekawi, wiecie...

— Ja to nie lubię, kiedy mi kto sterczy nad głową. — Karbowski bez pośpiechu nabijał fajeczkę tytoniem. — Pewno, że ludzie ciekawi. Ja sam...

— Jakże! Weronka mówiła, że wy...

Karbowskiemu drgnęła ręka; upuścił odrobinę tytoniu.

— Widziałeś już Weronkę?

— Widziałem.

— Mówiłeś, coś widział?

— Nie zdążyłem. Spieszyła się...

Karbowski otarł z piwa swe piękne, żółtosiwe wąsy i pociągnął z fajeczki.

— Nie mówiłeś... To i dobrze. Za to teraz opowiesz. Ino bez kręcenia. Samą prawdę!

— Po co mam kręcić? — Koniusz obruszył się. — Co widziałem, to i opowiem... na przykład o pszenicy krzaczastej, która z ziarna daje dwieście.

— Ej, Stefan, toż mówiłem: samą prawdę. A ty mi o dwustu ziarnach...

— To najszczersza prawda!

— Bajesz i tyle. Powiadam ci: nabieraj takich, jak ty, ale starego wróbla zostaw w spokoju. Mnie tam nie okpisz.

Karbowski stuknął energicznie kuflem; był widać na dobre wytrącony ze swej niezachwianej równowagi. Lecz Koniusz nie przestawał się uśmiechać.

— Pokażę, to uwierzycie — powiedział. — Przywiozłem ja taką pszenicę.

— Jak powiadasz? Przywiozłeś?

Chwilę jeszcze stary chłop mierzył nieufnie młodego, węsząc kpinę lub zwyczajne łgarstwo; wreszcie złe błyski w oczach wygasły, Karbowski uspokoił się, łyknął piwa. Długo nad czymś dumał; w końcu westchnął i, jak gdyby decydując się powiedzieć coś ważnego, przysunął swój stołek bliżej Stefana; nachylił się ku niemu i wsparł łokciami o stół.

— Znaczy się... chcecie zrobić kołchoz? Prawda?

— Prawda.

— I ty z innymi?

— Jakże! Toć jestem w założycielskim komitecie.

— Przecie głowy ci nie utną, jak z tego komitetu... tego... — tu Karbowski wykonał wężowy ruch dłonią, oznaczający wyślizgnięcie. Lecz Stefan zmarszczył czoło, urażony.

— A niby czemu mam się wywijać? Wiem, co dla mnie dobre.

— G.... wiesz — powiedział stary spokojnie. — Ledwie trzydziestki dociągnął, a już by się nad wszystkim wymądrzał! Posłuchaj, co ci powiem.

Nachylił się do Stefana jeszcze bardziej, i nie odrywając od jego twarzy surowych, szarych oczów, podjął:

— Masz swoje trzy hektary. Weronce dam na wiano drugie trzy. Na sześciu można już gospodarzyć. Jeszcze może co odpalę ze swojego... No, ale do żadnego tam kołchozu ziemi nie dam. I Weronce wiana też nie dam. To sobie rozważ.

— Mnie jej wiano niepotrzebne.

— Patrzaj go, jaki pan!

— Pewno, że pan. W spółdzielni będzie nie sześć waszych hektarów, ale dwieście sześć. Albo i więcej...

Karbowski parsknął urągliwym śmiechem:

— I myślisz pewno, że te... dwieście, powiadasz?... to będzie twoje? Nie będziesz ty tam czasem za parobka?

— Będzie wszystkich. I moje. I Weronki. Schowajcie sobie swoje wiano. — Stefan wstał, bardzo widać zagniewany, i dobywał pieniędzy, by zapłacić za piwo. Ale stary przytrzymał go za ramię.

— Siedź, gorączka! Nie chcesz, to nie. No, siadaj... Ja ino nie wiem, czy i Weronka zechce pójść z domu w jednej koszuli...

— Niech was o to głowa nie boli.

— A kogo niby ma boleć? Toć moja córka. Rodzona! — Powiedział to przejmującym, żałosnym niemal tonem. Stefanowi twarz złagodniała, a Karbowski dorzucił ciszej: — Jeszcze jej nie dostałeś!

Milczeli chwilę, unikając wzajem swych oczu. Pierwszy otrząsnął się Karbowski i znów pochylił nad stołem.

— Miałeś mi pokazać pszenicę.

Poszli więc do Stefana. Było prawie południe. Czerwcowe słońce ziało skwarem z pobladłego nieba. Na drodze nie było żywej duszy. Szli wolno i dopiero blisko celu spotkali księdza proboszcza, pod parasolem i z brewiarzem pod pachą. Wracał widać z przedobiedniej przechadzki. Wymienili uprzejme pozdrowienia; ksiądz, widząc ich razem, uśmiechnął się serdecznie; pytał o zdrowie, Stefana o podróż. Odszedł, uważnie spojrzawszy Karbowskiemu w oczy.

Stary zachwycał się pszenicą; nawet nie myślał, że takie dziwo może urosnąć na pszenicznym źdźble. Oglądał kłosy ze wszystkich stron, obmacywał ziarno, i cmokał z zachwytu. Potem dziwował się pięknej, skórzanej teczce, którą Stefan kupił w Moskwie.

— Oni to nazywają „portfel“ — uśmiechnął się młody — ładny portfelik, co? — Kłosy starannie owinięte bibułą, spoczęły w teczce. Karbowski poszedł.

*

Na razie podziwiano teczkę. Do stołu przecisnął się Karbowski. Też wyraził swe zdanie o teczce; wziął ją w ręce, pochwalił. Mówił, że wie, jak się to w Moskwie nazywa; gdy chłopi śmieli się z rozmiarów „portfelu“, Karbowski spróbował zamków; otworzył teczkę i zamknął, znów pochwalił...

Zaczęło się zebranie. Chłopi ruszyli do ławek.

Stefan umiał opowiadać; zaciekawił słuchaczy, aż niektórzy pootwierali usta. Pilno mu było pokazać wspaniałe kłosy; szybko więc przeszedł do historii krzaczastej pszenicy. Szmer zdziwienia przeszedł po sali; teraz okazywali niedowierzanie nawet, ci, którzy chcieli wierzyć.

— Cudów nie ma — powiedział wtedy Stefan, — Pokażę wam tę pszeniczkę...

I lubując się wrażeniem, jakie za chwilę wywoła, sięgnął wolno do teczki. Nagle urwał w pół słowa, jego ruchy stały się gorączkowe. Wyprostował się, bledszy od ściany, i ogarnął tłum nieprzytomnym spojrzeniem Nie widział rozognionych twarzy ani drwiących spojrzeń, nie słyszał wybuchających tu i ówdzie jadowitych prześmiechów Wparł oczy w jeden punkt i trwał tak chwilę.

Pod piecem siedział jego przyszły teść i z niejakim oburzeniem oglądał się na żartownisiów. Wyglądał jak człowiek, bolejący nad niepowodzeniem własnej rodziny.

Stefan zeskoczył ze stopnia i przepchał się w stronę pieca. Na sali powstał gwar, chłopi porwali się z miejsc, baby piszczały. Przyszły teść mocował się chwilę z przyszłym zięciem, omal pieca nie rozwalili. Starszy uległ Stefan wydarł z jego kieszeni pomięty pakiet i drżącymi rękami rwał bibułkę Ciasno stłoczonym chłopom podtykał pod nosy przedziwne kłosy pszenicy. Kłosy były całe, osypało się tylko trochę ziarna. Karbowski, skradłszy je z teczki, nie zdążył wyrzucić ani zniszczyć.

W gniewnym zapale Karbowskiego wyrzucono za drzwi Stał chwilę bez ruchu, po czym splunął i godnie ruszył drogą, nie oglądając się za siebie.

Nazajutrz gruchnęło po wsi, że Weronka uciekła od rodziców

Olgierd Terlecki

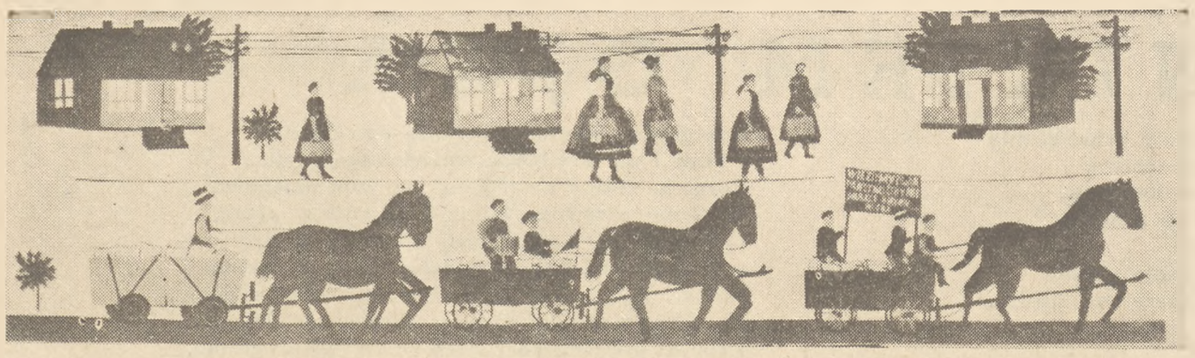

Wycinanka łowicka — Marii Kołaczyńskiej ze wsi Retki, pow. Łowicz

JALU KUREK

Przejażdżka po Świątnikach*)

Pomówmy o Świątnikach. Pojechałem autobusem obejrzeć doroczną wystawę prac uczennic tamtejszej szkoły gospodarczej. Kraków pożegnał mnie gradem siekącym i piorunami, a w Świątnikach — słońce. Ta podkrakowska wieś znana jest z dwóch powodów: z chałupniczego przemysłu ślusarskiego (zwłaszcza ze słynnych kłódek świątnickich) oraz z tego, że tamtejsi chłopi dziedzicznie obsługują katedrę wawelską od czasu królowej Jadwigi na mocy specjalnego królewskiego przywileju. Poza tym — ale to już zdobycz ostatnich lat: Świątniki posiadają państwową szkołę gospodarczą o wysokim poziomie, jedną z najlepiej zorganizowanych w okręgu.

Oglądam wystawę. Dział krawiectwa i kroju. Suknie - arcydzieła, których nie powstydziłyby się najbardziej eleganckie sklepy Krakowa. Pomysłowość uczennic — dziewcząt wiejskich — w zakresie deseni, wzorów, upięć, doboru barw — zadziwiająca. Tu się dopiero widzi, ile talentów artystycznych drzemie na wsi. Do każdego wykonanego modelu załączono rysunki. Spojrzeć na nie — wyglądają na eksponaty wyborowej, współczesnej szkoły grafiki.

Tkactwo. Kilkaset próbek najrozmaitszych ściegów, kolorów, projektów, obliczeń, pomysłów. Samodziały, szaliki, makatki, chodniki, konfekcja damska. Jak mnie objaśnia dyrektorka zakładu — spółdzielnie krakowskie współpracują ze szkołą, zamawiając fartuchy, szaliki, bieliznę damską i męską. Już nie piszę o działach: higieny, zielarstwa leczniczego, cukiernictwa i kuchni, bo nie ma czasu. Idziemy na wieczorek artystyczny. Słucham deklamacji i śpiewu dziewcząt. Taka szkoła powinna stać się celem pielgrzymek z całej okolicy. Ale bogacze świątniccy marzą, aby ich dzieci — jeśli się już mają koniecznie uczyć — uczyły się w Krakowie. To stempel, to coś znaczy. Naiwni! Nie wiedzą, że posiadają u siebie szkołę, ani na jotę nie gorszą w poziomie nauczania niż w mieście. Na tym właśnie polega zdobycz naszych czasów, że na wsiach tworzymy obecnie ogniska światła, że w zapomnianych dotąd środowiskach budujemy kuźnie oświaty i praktycznego wychowania, aby młodzież nie musiała emigrować po naukę do miast. Nauka przychodzi dzisiaj do każdej wsi.

Zrozumcie to, świątniczanie. Macie u siebie szkołę gospodarczą, szlachetne narzędzie podnoszenia człowieka wzwyż. Uświadomcie sobie wielką rolę wychowawczą tej szkoły. Dozwólcie jej promieniować na okolicę. Pomóżcie jej. Ona dla was pracuje. Dla waszych córek. Dla młodego pokolenia. Człowiek, który się uczy, staje się mądrzejszy. A człowiek mądrzejszy jest bogatszy. Oświata sprzężona jest tak z dobrobytem, jak ciemnota z nędzą. Dziewczęta uczą się tu nie tylko fachu, rzemiosła, ale wychowują się na światłe obywatelki, godne kobiety, rozumne gospodynie.

Jedna z matek świątnickich, biedna, brudna i zahukana, ma, niestety inny pogląd na tę sprawę.

— Nie pozwolę córce chodzić w tym roku do szkoły. W głowie przewróciła jej ta szkoła! Nic, tylko przed lustrem stoi, włosy czesze, paznokcie obcina.

Rodzice: dzieci wasze chcą być mądre, pragną się uczyć, chcą dojść do czegoś w życiu. Niech tylko dziesięć uczennic wyjdzie z tej szkoły na wieś co rok, a już wieś podniesie się wyżej, zakwitnie inteligencją i dostatkiem. Czy wiecie, jak ważną rolę spełnia kobieta w społeczeństwie? Nawet gdy uczennica nie ma zamiaru kształcić się dalej, pozostanie po szkole rozumną gospodynią domu, przykładem dla innych. Od całych stuleci gospodarstwo wiejskie spychało kobietę w dół, trzymało ją w jarzmie nieprzerwanej, niewolniczej harówki. Czasy dzisiejsze nareszcie ją wyzwalają, a tu właśnie jest kuźnia, w której kształtuje się nowoczesna kobieta, dźwigająca się z wiekowego upośledzenia.

Odjeżdżam ze Świątnik w słońcu. Panoramiczna szosa. Wspaniałe widoki na południowe podgórze. Widać chyba ze trzy powiaty dokoła. Tylko trochę więcej światła wpuścić do tej podkrakowskiej wsi, usadowionej na wzgórzu! W tych dniach uczennice jadą na wycieczkę do Krakowa; 75 procent z nich będzie po raz pierwszy w życiu w teatrze. Pomyślcie, jak ta wieś zawstydzająco śpi niemal na progu wielkiego miasta.

FRAGMENTY REPORTAŻU

Oglądam się jeszcze raz wstecz i widzę niknącą za drzewami szkołę, placówkę postępu wśród obojętnego środowiska. Miejcież dla niej serce, świątniczanie! I weźcie sobie tę szkołę do serca. Ona ukazuje wam życie piękniejsze i lepsze niż wasze. To życie jest dla waszych dzieci.

✻

Odjechałem. Ale w tydzień po pierwszej wizycie przejechałem się jeszcze raz do Świątnik, ponieważ doszły mnie niepokojące wieści, jakoby tamtejsi mieszkańcy poczuli się krzywdzeni moim felietonem, jaki opublikowałem w prasie na temat wrażeń wywiezionych stamtąd. Poczułem wyrzuty. Może nie dość uważnie, nie dość głęboko wejrzałem w rzeczywistość Świątnik? Spróbuję zrewidować moje poprzednie uwagi o wsi chałupniczych ślusarzy, przeprowadzić ponowną konfrontację wrażeń na miejscu...

...Z radością dowiedziałem się o wcale dużych, a nawet — na swój czas — pionierskich osiągnięciach Świątnik w dziedzinie oświaty i kultury. Czytelnia ludowa założona w roku 1909, biblioteka, zespół dramatyczny, zespół chóralny (istnieje tu silna tradycja śpiewacza). To imponuje, ale szkoda, że to było, a już nie jest. Od 30 lat działa we wsi klub sportowy; to także coś wręcz niezwykłego, jak na wiejskie stosunki. A ochotnicza straż pożarna istnieje w Świątnikach od lat 70! Słownie: siedemdziesięciu. Tak jest, to pierwsza historycznie, wiejska straż pożarna w Polsce. Jest tu też elektryczność, jest radiowęzeł. I przede wszystkim — chluba tradycji świątnickiej: szkoła ślusarska, licząca ponad 60 lat istnienia, obecnie przekształcona w liceum mechaniczne. To wszystko określa w wystarczającym stopniu poziom wsi.

Ale skoro tak jest, tym większe ma się wymagania wobec Świątnik, tym ostrzej na tym tle występują plamy i rysy. Posłuchajcie: miejscowy inteligent - samouk pokazuje mi w mieszkaniu dyplomy za wieloletnią pracę oświatową oraz fotografie chóru świątniczanek na festiwalu wawelskim (czasy nieco zamierzchłe). A wchodzę do chaty nędznej, brudnej, gdzie bydło przebywa pod jednym dachem z ludźmi, gdzie zamiast podłogi jest ubita glina — i słyszę w tej chacie głos, protestujący przeciw budującemu się właśnie we wsi wodociągowi. Czy to jest głos kultury? Słyszę głos matki, która nazywa pobyt swej córki w szkole gospodarczej „próżniactwem". Czy to jest głos kultury? To, że córka nauczyciela studiuje medycynę w Krakowie, albo że syn tamtejszego bogacza jest także studentem w wielkim mieście — nie stanowi żadnej miary dla przeciętnego stanu gospodarczo-kulturalnego Świątnik. Wieś ta nie przełamała w sobie konserwatyzmu od dołu i tradycyjnego poglądu na życie. Grupa bogaczy wiejskich, która dawniej trzęsła gminą, usiłuje i dziś jeszcze wodzić rej na wsi. Klika uprzywilejowanych i rzesza biedaków — znaczy to rozwarstwienie. Zamożni handlarze. Zasobni majstrowie. Wyzyskiwani czeladnicy. I stąd — moi drodzy — pochodzą pretensje i złość do kogoś z zewnątrz, kto ośmielił się to podpatrzeć.

I czemu nikt z wewnątrz tego nie widzi? Czy może boi się widzieć? Może widzi i boi się powiedzieć, poskarżyć?

A można się tam dowiedzieć czegoś ciekawego. Dlaczego się nie patrzy na ręce bogaczom? Skąd pochodzą ich dochody? Wzmóc energicznie gromadzką kontrolę! Kto przekłada własny interes, własną kieszeń nad dobro powszechne, tego usunąć ze stanowiska! Jak tam jest z ubezpieczeniami w chałupniczych warsztatach u świątnickich majstrów? Dlaczego nie ma dotąd związku zawodowego w Świątnikach? Ani spółdzielni ślusarskiej po tylu latach? Kto stał i stoi temu na przeszkodzie?

Widzicie, tak ekonomia sprzęga się z kulturą. I tak zdobycze jednej dziedziny związane są z drugą. Za-

1.700 mieszkańców, a ile sobiepanstwa! Jaka rozpiętość pomiędzy bogaczami a nędzarzami! Tu spozieramy na biedę, która aż piszczy, a po drodze (jakże błotnistej!) dowiadujemy się, że ogrodzenie z żelaznej kraty, obok którego przechodzimy — będzie kosztowało właściciela tysiące złotych. No, no! Pisarz musi mieć oczy bystre, otwarte na wszystko i widzieć nie tylko to, co mu pokazują; coś więcej. O wiele więcej.

Popatrzcie, obywatele świątniccy, na inicjatywę nauczycielstwa waszej szkoły gospodarczej dla dziewcząt. Zrozumcie, dlaczego ją chwalę. Dziewczęta szkolne urządziły w lokalu sklepowym poczekalnię autobusową, gdzie sprzedają podróżnym bilety. I zarabiają w ten sposób. Istnieje przy szkole sklep spółdzielczy, prowadzony przez uczennice oraz szwalnia na terenie zakładu, gdzie byłe wychowanki pracują na zamówienie krakowskich spółdzielni. Oto racjonalna forma gospodarki! Zainicjowały ją kobiety, przyszłe gospodynie wiejskie, kształcone właśnie w świątnickiej szkole.

Tamtejszy inteligent-samouk (ten sam, który posiada dyplomy za pracę oświatową w przeszłości) uśmiecha się do mnie z przekąsem.

— Panie, świątniczanie nie są chłopami, bo u nas nigdy dworu nie było. I krów nie mają. Jacyż to chłopi bez krów?

W moim rozmówcy — świątniczaninie z dziada pradziada, który liznął nieco inteligencji, ale o wiele więcej dostatku i który sprzeniewierzył się swojej klasie — wyczuwam podświadomie fałszywą ambicję w tej naiwnej argumentacji. Chce usprawiedliwić swoją klasową dezercję. Że jakoby jest kimś innym, niż babrającym się w gnoju. A więc — kimś wyższym. Kimś wartościowszym.

Dlaczego? Chłop, to nie przezwisko, to szlachetne miano. Wszyscy ongiś byli chłopami w Polsce, w puszczach nieprzebytych, zanim pozakładano miasta.

Kochani świątniczanie! Pogódźmy się. Dla wielkiej sprawy: dźwignięcia wsi wysoko. Jeśli twierdzicie, że stoicie wysoko, udam, że zgadzam się z wami i krzyknę tylko: — jeszcze wyżej! Nigdy nie chciałem krzywdzić Świątnik. Kocham wieś, jestem jej wnukiem. Ale jako pisarz widzę pewne sprawy głębiej ostrzej. Chwalę was, świątniczanie, za to, coście zrobili. Ale róbcie jeszcze więcej i owocniej. Jeszcze jest tyle na wsi do zrobienia!

I nie dąsajcie się na mnie. Nie ma za co. Piszę zawsze prawdę, zgodnie z sumieniem i przekonaniem. Zrozumcie rolę pisarza i jego odpowiedzialność społeczną. Bijcie lepiej u siebie ciemnotę umysłową biedaków i wstecznictwo socjalne bogaczy (mogę ich nazwać kułakami, prawda?): choćby tę ciemną — wsteczną grupkę w waszej wsi stanowiło tylko dziesięciu ludzi. I posyłajcie swoje córki do świątnickiej szkoły gospodarczej. Stamtąd wychodzi co rok nowe, młode pokolenie kobiet wiejskich, które wnoszą w życie wsi uśmiech i światło.

Przejechałem się po Świątnikach dwa razy. Dosłownie i przenośnie. A pochwaliłem — trzy razy.

Wasze zwycięstwo.

*) Ze zbioru reportaży literackich pt.: „Góralu czy Ci nie żal", który wchodzi w tych dniach na rynek księgarski nakładem Wydawnictwa Literackiego w Krakowie

PIOTR GRENIUK

Czy wam się to podoba?

W jednym z ostatnich numerów „Trybuny Ludu" przeczytałem S. Chrzanowskiej notatkę o wyprodukowaniu w Czynie Przedzjazdowym przez włókniarzy łódzkich 600 nowych wzorów na tkaniny wełniane i bawełniane.

Ucieszyłem się, bo był to dla mnie bliski i zrozumiały przykład jak sprawę podniesienia stopy życiowej realizujemy nie tylko w ilości wyprodukowanych materiałów, ale również w ich jakości. Kilkaset nowych wzorów na męskie ubrania, płaszcze, nieznane dotychczas gatunki materiałów — to ogromny wysiłek, włożony przez łódzkie załogi w zindywidualizowanie naszych ubiorów i podniesienie piękna naszego codziennego wyglądu.

Najbardziej jednak zaciekawiła mnie informacja o kilkuset barwnych wzorach tkanin na suknie kobiece. Są tu tkaniny gładkie i w kraty, w prążki lub paski, zdobione różnymi efektami tkackimi. Wzruszająca jest ta ogromna troska łódzkich włókniarzy o bogactwo wzorów. Jest jednak rzeczą oczywistą, że materiały wełniane lub kortowe — choć wzory ich projektują artyści-plastycy — są ograniczone i w skali kolorystycznej i w rysunku, zamknięte w granicy motywów geometrycznych — krat, paseczków, kropek.

Największą radość dają kobietom niewątpliwie sukienki, bluzki, chusteczki ze zwiewnego jedwabiu lub kretonu. Noszone w okresie wiosennym i letnim dostosowują się do piękna przyrody całą gamą wspaniałych barw i bogactwem rysunku .W tym zaś zakresie autorami wzorów na materiały stają się już obok artystów - plastyków — **twórczynie ludowe,** starające się dostosować ludowe wzory, ornamenty i malowanki do nowoczesnej techniki druku na materiale.

Dążeniom ludowych artystów trzeba jednak pomóc. Ministerstwo Przemysłu Lekkiego powierzyło Instytutowi Wzornictwa Przemysłowego zorganizowanie i zaopiekowanie się kilkunastoma kolektywami twórczymi, które skupiają najzdolniejsze i najbardziej zamiłowane w swojej sztuce ludowej artystki. Rok 1945 był początkiem prac nad zorganizowaniem kolektywów, dalsze lata tworzyły nowe zespoły. W okresie tym powstał kolektyw tkaczek w okolicy Sokółki w województwie białostockim, kilimiarek, tkaczek i koronkarek w okolicy Zakopanego, słynny kolektyw malarek zalipiańskich czy wreszcie wycinankarek z Kadzidła. Szesnaście kolektywów twórczych — projektujących wzory oparte o różne zakresy sztuki ludowej, zdają się zapowiadać w naszych sklepach przybór pięknych materiałów ozdobionych ludowymi motywami.

Za wcześnie jest jednak na wyciąganie zbyt pochopnych wniosków, jakoby wzory te miały już całkowicie utorowaną drogę i nie napotykały trudności przy wprowadzaniu ich do produkcji fabrycznej. Mimo bowiem, że materiały te znikają momentalnie ze sklepów i pokupność ich winna być jedną ze wskazówek dla przemysłu włókienniczego — udział ludowych artystek w zdobieniu materiałów dla kobiet jest jeszcze wciąż zbyt mały i ostrożny. Najwymowniej świadczą o tym cyfry: w okresie 1951 — 1952 r. do produkcji przeszło 6 wzorów z kolektywu „Zalipie", 8 wzorów z kolektywu „Kurpie" i 27 z młodzieżowego kolektywu „Zakopane". A tymczasem w okresach wiosennym i letnim na półkach sklepów — zamiast pięknych ludowych tkanin spoczywają całe stosy standardowych, bezbarwnych druków i trudno spotkać chociażby jeden z przyjętych do druku wzorów.

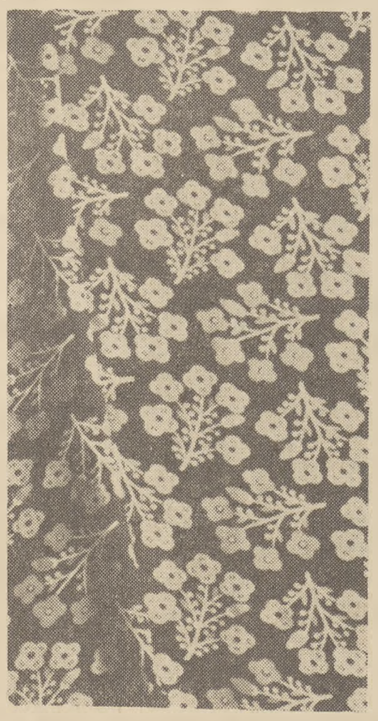

„Tkanina sukniowa" projekt Ireny Uszko z kolektywu Zakopane

Niezrozumiała ostrożność, ograniczanie inwencji twórczej ludowych artystek stanowiły tamę w przedostawaniu się ludowych wzorów do produkcji. Napotykały one niespodziewane zgoła przeszkody, wynikające z braku przekonania co do wartości artystycznej tych projektów i co do sensu popularyzowania ich z powrotem na wsi. Przedstawiciele przemysłu czy handlu na podstawie własnych osądów odrzucali cenne niejednokrotnie wzory, obawiając się, że nie znajdą one chętnych nabywców. Osądy te najzupełniej niesprawiedliwe. Bo spójrzmy, jak ciekawe są dzieje przyjętych ostatnio do druku 8 wzorów na wiosenny sezon 54 r.

Ostateczne zwycięstwo pierwiastków ludowych w polskim zdobnictwie wymaga jeszcze wielu wysiłków — toteż aby przekonać Ministerstwo Przemysłu Lekkiego o konieczności pomnożenia ilości zatwierdzanych wzorów — postanowiliśmy poprzeć pracę Instytutu opiniami bezpośrednich odbiorców tkanin. Pojechaliśmy więc do kilku wsi, organizując w terenie pokazy zaprojektowanych tkanin, zbierając skrzętnie wrażenia ludności wiejskiej. Zamieszczone powyżej wzory pozwolą i czytelnikom porównać swoje własne wrażenia z opinią środowisk wiejskich.

Kilka wzorów dostarczył kolektyw młodzieżowy z Zakopanego. W niedługim czasie ukaże się już gotowy materiał na letnie spódniczki z bogatą ornamentyką, utrzymaną w kolorze żółto - zielonym na białym tle — zaprojektowany przez Helenę Urbaś. Następne dwa wzory zaprojektowała Helena Uszko również z kolektywu zakopiańskiego. Równie ciekawe projekty wniósł kolektyw zalipiański. Jego dziełem jest jedwabny materiał z barwnymi różyczkami wplecionymi w mniejsze bukieciki kwiatów. — Projekt Marii Kiwior został także zatwierdzony do produkcji przemysłowej.

✻

Jedną ze wsi, do której w naszej wędrówce dotarliśmy, była wieś Dziekanów w pow. hrubieszowskim. Oglądający mieli do wyboru kilkanaście materiałów, oceniali każdy z nich po kolei, ale końcowe opinie całej gromady były zgodne: za najpiękniejszą tkaninę uznano „zakopiańskie różyczki" — zaprojektowane przez młodzieżowy kolektyw z Zakopanego. Jest to materiał jedwabny o zielonym, trawiastym tle, na którym występuje ornament ze stylizowanych czerwonych różyczek w otoczeniu kwiatów niebieskich i liliowych.

Stanisława Mazurowa oglądając ten wzór — również zgadzała się się z opinią gromady. Przypomniała sobie noszone dawniej wzory materiałów, robionych własnoręcznie i skrzętnie przechowywanych do dziś.

— Ale nasze dawne materiały nie mogły się równać z jakością obecnej produkcji. Na materiałach, utkanych na skromnych warsztatach chałupniczek zanikał nawet najpiękniejszy wzór. Ówczesne zaś materiały fabryczne były nie tylko drogie ale i brzydkie, obce upodobaniom wiejskich kobiet.

Nie tylko Mazurowa prosiła o sprzedanie kilku metrów tkaniny zaprojektowanej wśród zakopiańskich twórczyń ludowych, chęć nabycia wzorcowych materiałów była powszechna. Członkinie spółdzielni Biała Nowa przymierzając barwne tkaniny, mówiły: — Gdybyście tak sprzedawali te materiały na sukienki czy bluzki, to byście tu mieli całą gromadę ludzi. Przecież i my wreszcie chcemy ubierać się w ładne stroje, w to — co nam się podoba.

— Bo pomyślcie tylko — wyjaśniała Bronisława Greniukowa — gdyby tak w całej wsi ubrać kobiety w takie wzorzyste materiały, to by w niej było wesoło i radośnie.

„Różyczki zalipiańskie" — projekt Marii Wojtyto z kolektywu Zalipie

Byliśmy szczerze zadowoleni z tego, że tkaniny budziły niekłamany zachwyt i chęć kupna — chociażby od razu — wzorcowych materiałów. Widzieliśmy w tym najlepszy dowód wzrastającej zamożności naszych widzów, wyrażającej się nie tylko w pragnieniu lecz i w możliwościach zaspokojenia swoich potrzeb.

Dzięki głosom wielu kobiet, równie pozytywnie jak Mazurowa oceniających ludowe tkaniny — Ministerstwo Przemysłu Lekkiego zatwierdziło nowych osiem wzorów ludowych do produkcji przemysłowej.

W czasie pokazu widzieliśmy, z jaką radością wieś przyjęła odwołanie się do jej decyzji, do możliwości wyboru i ocenienia sztuki — tworzonej w kolektywach ludowych artystów.

— Czyż dotychczas nas kiedykolwiek pytano o to, co się nam podoba? Nasz gust przecież nikogo nie obchodził i nikt się z nim nie liczył — mówił Piotr Malewski na pokazie spółdzielni produkcyjnej Biała Nowa.

Pragniemy, aby głosy kobiet wiejskich, głosy pracującego chłopstwa dotarły do miarodajnych czynników przemysłu i handlu by orientowały je o gustach i potrzebach nie tylko szerokich mas wiejskich, lecz i ludzi pracy naszych miast. Wtedy na pewno zniknie rażąca dysproporcja między 600 nowymi wzorami powstałymi u włókniarzy łódzkich, a czterdziestoma kilkoma wzorami stworzonymi w kolektywach twórców, kontynuujących wspaniałą tradycję ludową — tradycję „sztuki ludu pracującego".

Piotr Greniuk

TADEUSZ CHYBA

Rozmowy o sojuszu

Rys. J. Nykiel

Rozmowa toczy się w lokalu partyjnym przy Zakładach Dziewiarskich im. Emilii Plater w Łodzi. Zaczęło się od tego, że przyszedł członek spółdzielni produkcyjnej w Siedlewie, pow. łęczyckiego ob. Majchrzycki, aby pochwalić się rezultatami rocznego obrachunku. Majchrzycki przychodzi tu zresztą przy każdej okazji, odkąd spółdzielnią zajęła się ekipa ruchu łączności.

— Ano widzicie, panie sekretarzu, jest tak: 22 złote na rękę, 5 kg żyta dziennie, tyle samo pszenicy, buraków 7 kilo, pasza, słoma, inne okopowe, razem będzie ponad 70 złotych dniówki.

Majchrzycki jest wzruszony, ręce mu drżą, kiedy bierze z rąk sekretarza Podstawowej Organizacji Partyjnej papierosa. Mały pokoik wypełnia się dymem, płyną oderwane wspomnienia, z których powoli, fragmentarycznie wyłania się obraz pracy i walki robotniczej ekipy. Obraz tym wymowniejszy, że odtwarza go chłop, przed kilku laty zdecydowany wróg ekip.

— Ej, sekretarzu! To była robota z tą wdową, co? Pięcioro drobiazgu, bez chłopa, chałupa na wpół rozwalona, a biurokracja coraz o nowy papierek woła. Daliście Grzybowskiemu, temu od rolnictwa i leśnictwa w Łęczycy! Do dziś dnia załatwia ludzi jak się należy, Nie wiem czemu, ale sekretarza żenuje tego rodzaju entuzjastyczna opinia o pracy ekipy.

— No, Majchrzycki, dajcie spokój!

— Ciągnik z przyczepami pożyczyli, żyto i buraki nam pomogli zwieźć, sieczkarnię wyremontowali, wialnia miała iść na szmelc, a gra jak nowa. Co się należy trzeba powiedzieć.

— Dobrze, dobrze, jak z realizacją planów?

I oto w sercu najbardziej ze wszystkich — robotniczego miasta, na terenie fabryki, gdzie toczy się uporczywa walka o wykonanie dziennych norm, toczy się rozmowa o przyszłości spółdzielni produkcyjnej — Siedlew.

— Część stawów wyszlamowana, narybek się wpuściło, z wiosną weźmiemy się do reszty. Ryby — rentowna gospodarka!

— No, a jak u was z dyscypliną pracy?

Majchrzycki zaczerwienił się lekko.

— O Kwiatkowską chodzi? Ano jest kłopot. Do pracy nie wychodzi, ale po naftę, czy węgiel zawsze pierwsza. I psioczy na spółdzielnię. Co byście poradzili na to?

Zapada na chwilę cisza. Co powie sekretarz?

— Myślę tak: zbierzcie któregoś dnia waszych ludzi i walcie do naszych zakładów z wycieczką. Pokażemy najlepszych pracowników, ofiarnych, oddanych. Dobry przykład działa. A Kwiatkowska łasa na fatałachy, pokażemy cośmy dla niej wyprodukowali i zapytamy, czego się od niej można spodziewać.

Majchrzycki promienieje. Rzeczywiście, czasu teraz więcej. Można by z chłopską ekipą spółdzielczą przyjechać do fabryki.

✻

Trociński broni się, jak może. Nie, nie jest żadnym bohaterem ekipy z Łódzkich Zakładów Pasmanteryjnych — Południe i kropka! Ekipa opiekuje się spółdzielnią produkcyjną w Łubnie (Łęczyckie). Stąd właśnie pochodzi Trociński; jemu też powierzono w praktyce kierowanie ekipą.

Robotnicy wspominają dziś ze śmiechem, jak Trociński rozpoczął od serii pogadanek o uprawie łąk, roślin przemysłowych i hodowli bydła. I co wydawało się początkowo śmieszne — pogadanki te zorganizował dla... robotników, żeby „nie mówili chłopu na koniczynę, że to seradela". Następnie zorganizował sobie w Łubnie coś w rodzaju „sieci korespondentów", donoszących mu w prywatnych listach co na terenie gminy słychać. Rezultat był nadspodziewany. Pewno, że chłopi powitali z uznaniem robotniczy zespół artystyczny, dopomogli przy budowie szkoły i świetlicy, nadziękować się nie mogli za elektryczność, ale co ostatecznie podbiło ich serca, to szybkie rozeznanie przez robotników trudności specyficznych gminy. Trociński przypuścił przemyślany atak na klikę panoszącą się w GS. Robotnicy oczyścili spółdzielnię tak szybko z fałszerzy kwitów i spekulantów, że niektórym chłopom oczy wychodziły ze zdumienia. A sami przecież dostarczali informacji o sytuacji w gminie. Potęga klasy robotniczej wyraziła się nie tylko w rzeczowej wiedzy o terenie, ale przede wszystkim w bezkompromisowym i skutecznym działaniu.

— Wiecie, mam teraz niemały zgryz. W żaden sposób nie udało mi się wytłumaczyć małorolnej Małeckiej, że kiedy kułak pożycza konia za odrobek, to jest wyzysk. Małecka powiada, że od lat tak było i ludzie sobie chwalili, więc co za wyzysk. Ta wdowa — to ważna pozycja. Pójdą za jej zdaniem i inne kobiety. Ano człowiek nie maszyna trzeba się dłużej przy nim pokręcić...,

Tadeusz Chyba

WŁADYSŁAW BŁACHUT

W muzeum Ziemi Sądeckiej

Sztuka ludowa ziemi nowosądeckiej jest bogata i wszechstronnie rozwinięta. Widoczne to jest zarówno w ludowej architekturze, jak w stroju, malarstwie, rzeźbie, czy ceramice. Piękne ganeczki, facjatki i rzeźbione ściany szczytowe w budownictwie wiejskim, wnętrza izb chłopskich, pokryte często malowankami, jak na Powiślu Dąbrowskim, barwnie zdobione polichromowaną rzeźbą ławy, kredensy, krzesła, skrzynie i kołyski, bogactwo i różnorodność dawnych strojów ludowych, białych i kolorowych haftów o wzorach przeważnie roślinnych — świadczą o artystycznych uzdolnieniach nowosądeckiej ludności. A cóż dopiero mówić o tradycjach starosądeckiego garncarstwa, rzeźbie figuralnej i malarstwie ludowym?

Pod tym hasłem Wydział Kultury WRN w Krakowie zorganizował ub. roku w Nowym Sączu wystawę konkursową haftów, malarstwa na szkle i ceramiki powiatu nowosądeckiego.

Wystawa udała się, zgromadziła wiele cennych prac, a kilkunastu artystów ludowych otrzymało cenne nagrody. Znaczna część najlepszych prac konkursowych znajduje się obecnie w zbiorach muzeum. Są tu oryginalne, ręcznie tkane makaty i wyszywane serwety Katarzyny Sikory, chłopki z Podegrodzia. Ta prawdziwie utalentowana artystka ludowa z powodzeniem kontynuuje hafciarskie tradycje Sądecczyzny, przenosząc motywy haftów roślinnych z dawnych strojów ludowych na przedmioty codziennego użytku.

Znacznie szerzej reprezentowane było na wystawie współczesne malarstwo na szkle. Dawniejsi malarze uprawiali prawie wyłącznie tematykę religijną. Dziś ta ciekawa technika malarska służy naszym ludowym twórcom do wyrażania innej, realistycznej treści. Ostatnie prace Piotra Pierzchwały z Woli Brzyńskiej „Elektryfikacja" i „Badanie lekarskie na wsi" są wymownym wyrazem idących przez wieś przemian i najlepiej określają postawę ludowego twórcy wobec pokojowego budownictwa wsi.

Wreszcie ceramika nowosądecka! Szeroko słynie w tych stronach rodzina Bielińskich ze Starego Sącza, którzy od trzech pokoleń zajmują się wyrobem artystycznych naczyń glinianych. Józef Bieliński nadesłał na konkurs ponad sto naczyń o pięknym szkliwie, zdobionych kolorową polewą lub oryginalnym rytem. Oglądamy w Muzeum Ziemi Sądeckiej spłaszczone dzbany bacowskie, garnki-dwojaczki i bogatą rzeźbę ceramiczną: gliniane ptaszki, figurki wieśniaków.

Piękne są rzeźbione, polichromowane sprzęty ludowe Jana Fiuta z Podegrodzia, haftowane złotymi nićmi portrety Bolesława Bieruta i przodującego górnika Markiewki — udane dzieło Michaliny Migacz z Podegrodzia, wreszcie oryginalne makaty Marii Miszczyńkiej z Nowego Sącza.

*

Mówiąc o folklorze regionu sądeckiego, nie można pominąć milczeniem dawnej muzyki i pieśni ludowej. Nad wydobyciem i upowszechnieniem tych wartości kulturalnych pracują liczne na terenie Sądecczyzny artystyczne zespoły świetlicowe z Nowego Sącza, Łącka, czy Podegrodzia i Powiatowy Dom Kultury. Pracuje przede wszystkim niestrudzony dyrektor Państwowej Szkoły Muzycznej w Nowym Sączu, Mieczysław Mirek. Pozostając w ścisłym kontakcie z Państwowym Instytutem Sztuki, od szeregu lat wędruje on latem po najbardziej odległych wioskach powiatu nowosądeckiego, limanowskiego i nowotarskiego w poszukiwaniu starych melodii i nieznanych pieśni ludowych. Tą drogą znalazło się już w jego zbiorach ponad dwa tysiące nieznanych tekstów i melodii ludowych.

Zmiącki potok płynie,
ale cichą falą.
Młodym nie wesoło
A starzy się żalą.
Jakże się nie żalić,
kiedy każdom wiosną
smutku nom przybywo,
a mogiły rosną...

Dziś o tamtych czasach pamiętają tylko starsi. W powiecie nowosądeckim pracuje już kilkanaście spółdzielni produkcyjnych, rozwija się hodowla i sadownictwo. Najzdolniejsi synowie i córki chłopskie zdobywają wiedzę w szkołach ogólnokształcących i zawodowych. Dyrektor Mirek czyni obecnie starania o zorganizowanie w Nowym Sączu podobnego do „Mazowsza" zespołu „Podhale". Zespół taki powinien obejmować swoim zasięgiem całe Podhale i Podkarpacie — od Zakopanego aż po Krosno, a położony centralnie Nowy Sącz byłby dla takiego zespołu najdogodniejszą siedzibą. Inicjator pięknej myśli ma już nawet upatrzone odpowiednie pomieszczenie na ten cel w dawnym pałacu hr. Stadnickich w Nowojowej...

Władysław Błachut

JANUSZ ŁABĘDŹ

„Artos" w terenie

W OBSZERNYM pokoju Gminnej Rady Narodowej w Jasieńcu zebrali się przedstawiciele Rady Narodowej i społeczeństwa, witając artystów zespołu „Artos", wysłanego w teren dla wzmocnienia akcji skupowej. Gmina Jasieniec stanowiła kolejny etap ich pracy. Sytuacja na odcinku skupu była tam niedobra. Gmina wykonała zaledwie 65 proc. planu, zajmując 17 miejsce w powiecie.

Towarzysze z KG próbowali jak najenergiczniej zaradzić złu. — Napiętnowali publicznie takich kułaków, jak Małachowska, gospodarująca na 18 ha, ale to niewiele pomogło. Są przecież jeszcze zuchwalsi. Taki Jan Słupek — posiadacz 51 ha, odmawia dostaw, a spekuluje węglem i uprawia kumoterstwo.

Po naradzie w prezydium aktorzy postanowili zebrać dodatkowe informacje w terenie. W świetlicy szkoły metalowej spotkali kilku nauczycieli, aktywistów zetempowskich.

Tow. Sokulski — sekretarz podstawowej organizacji partyjnej w szkole — wyjaśnił sytuację:

— Miejscowym kułakom wiele rzeczy uchodzi bezkarnie. Rozpanoszyli się w spółdzielni gminnej, której przewodniczący, Wacław Łukasiak, uprawia kumoterstwo na wielką skalę. Węgiel, cement i skórę na buty sprzedaje kułakom; kto z nimi nie trzyma — nie dostaje nic.

Zetempowiec Kuwerda opowiedział, że w godzinach nocnych często słyszy hałas wozów, zajeżdżających pod składnicę węglową. Nieznani osobnicy ładują potem, z polecenia Łukasiaka węgiel na wozy i odjeżdżają. Działalność Łukasiaka — dawnego właściciela młyna w Jasieńcu, doprowadziła do częściowego poderwania planu skupu.

*

Wieczorem przyjechała pozostała część zespołu. W świetlicy miejscowej szkoły odbył się pierwszy jego występ. Odegrano „Szydło z worka". Lech Zarzycki wspaniale recytował fragmenty z „Janosika" oraz polonez z „Pana Tadeusza".

Młodzi, a wraz z nimi starsi ulegli czarowi recytacji, która do sali szkolnej wniosła piękno mickiewiczowskiej poezji.

Nie ta jednak część programu była najważniejsza. Sala oczekiwała od autorów odpowiedzi na najbardziej palące zagadnienia swojego terenu, słów ostrej krytyki i zachęty.

Artyści spełnili milczącą prośbę i odpowiedzieli wstawkami, opracowanymi „na gorąco" już w Jasieńcu. Fala serdeczności przeszła przez salę, gdy konferansjerzy przypomnieli słowa gospodarza z gm. Czersk, dawniej bezrolnego, Mietka Jarosza, członka ZSL, który sprzedał zboże państwu jeszcze w sierpniu, a obecnie występuje przeciwko zalegającym:

— Czytać i pisać słabo potrafię — powiada — ale prawdę kułakom mocno wygarnę.

Artyści wspomnieli o Marii Jakubowskiej — wdowie obarczonej sześciorgiem małych dzieci, która mimo to wywiązała się z dostaw w 100 proc. Pochwalono i innych. Potem jednak na scenę wyciągnięto kułackie sprawki:

— Kto słucha Głosu Ameryki? Jan Olczak z gr. Grzędy. Rezultat — zalega z 18 kwintalami.

— Kto zalega z dostawami? Alfreda Małachowska, posiadaczka 18 ha, winna jest państwu 31 metrów. „Biedna" kobita chodzi do GRN i biadoli, że u niej „wszystko w dołku wymiokło", że „na górce wywioło" albo, że „w bruzdach grad wybił". Kłamstwa te oczywiście na nic się nie zdadzą.

Podobnie Mieczysław Jasiński z gr. Świętochów zboża nie odstawia, gdyż — jak twierdzi — „ma trudności z gniadą". — Konferansjerzy opowiedzieli, jak to pewien sąsiad Jasińskiego, przechodząc ścieżyną, spotkał gniadą kobyłę ze smutnie zwieszonym łbem.

— Co ci jest, gniada? — spytał.

— Takbym chciała pojechać do punktu skupu — żaliła się kobyła — ale mój pan mówi wszystkim, że ja okulałam. Ale to przecież nieprawda. — I na dowód pokazuje swoje kopyta.

*

Występy i aktualne wstawki cieszyły się dużym powodzeniem; mimo to obudziły w części widzów poważne zastrzeżenia. Zestaw programowy nosił wyraźne cechy przypadkowości i mimo woli nasuwał pytania o myśl przewodnią takiego połączenia. Pytania te nie były pozbawione podstaw, wynikały bowiem z dziwnego doboru recytacji. Cóż za sens wychowawczy miał np. fragment janosikowego poematu — fragment tańca Janosika z cesarzową? Postać Janosika w tym ujęciu uległa zupełnemu wypaczeniu, którego nie wyprostowała nawet konferansjerka, usiłująca wyjaśnić społeczne znaczenie jego postaci.

Tak oto wyglądała „publiczność" na występie „Artosu" we wsi Baranów

Jednakże prawdziwe szydło z worka wylazło przy ocenie wyników przedstawienia. Ilościowo widzów przyszło dużo, ale na sali znalazło się niestety zbyt mało gospodarzy; przeważała wyłącznie młodzież szkolna. Był to niewątpliwie wynik pośpiechu i złej organizacji imprezy. Warszawski oddział „Artosu" trochę za późno pomyślał o włączeniu się do akcji skupu zboża — mimo, że akcja ta powtarza się w każdym roku. Należało wcześniej przygotować się do niej. Afisze rozlepiono zbyt późno i mało kto na wsi wiedział o terminie przedstawienia.

Nie mniejszą odpowiedzialność ponoszą towarzysze z KG i Prezydium GRN, którzy powinni byli pamiętać o swojej roli gospodarzy terenu. Czy zadbali oni o odpowiednie zareklamowanie imprezy? Czy rozesłali wszędzie trójki agitatorów, aby szli od domu do domu, zachęcając chłopów do przyjścia na wieczór „Artosu"?

*

Warszawski oddział „Artosu" wysłał w teren siedem zespołów. Udały się one specjalnie do powiatów mających największe zaległości zbożowe: płońskiego, ostrołęckiego, grójeckiego.

Sztuki „Spotkanie u Ani", „Szydło z worka" i „Co komu winna spółdzielnia gminna?" przyjmowane były bardzo życzliwie. Sympatia i oklaski widzów budziły w aktorach zapał do dalszej pracy, każąc im zapominać o trudnościach, chłodzie i chorobach. Rozpoczęła się już przecież zima, a artosowskie przedstawienia odbywają się często w warunkach fatalnych.

Rady gminne, miejskie lub powiatowe życzliwie przyjmują zespoły „Artosu", doceniają jego pracę i oddziaływanie w terenie. Ale nie zdradzają najmniejszego zainteresowania warunkami bytowymi jego ludzi — nie dbają o los artystów pozbawionych często noclegu lub występujących w zlodowaciałej sali.

Zakres pracy „Artosu" na rok 1954 został znacznie rozszerzony, zwłaszcza na wsi. Powstaną nowe zespoły. Ilość imprez wzrośnie do ponad 20.000. Wielu nowych i młodych artystów ukaże się na estradzie, zetknie się po raz pierwszy z trudnościami pracy „Artosu".

Toteż Wydział Kultury ZSCh — musi pomyśleć o pomocy dla artystów, o umożliwieniu „Artosowi" normalnej pracy w terenie.

Janusz Łabędź

TADEUSZ NOCOŃ

POD ROZWAGĘ BIBLIOTEKARZOM POWIATOWYM

Przyjrzyjmy się pracy powiatowej biblioteki w Związku Radzieckim, w kraju przodującego czytelnictwa.

Oto biblioteka rejonowa w Baryszu, ulianowskiego obwodu. Jej kierownictwo wypracowało skuteczne metody propagandy czytelnictwa wg. różnych rodzajów wiedzy. Daje sygnały, informuje pracujących o nowościach książkowych, opracowuje zestawy bibliograficzne i zestawy godnych przeczytania książek. Jest to zasadnicza. główna praca personelu bibliotecznego, a jej konsekwencją jest wypożyczanie dzieł.

Pracę tę biblioteka w Baryszu wiąże z aktualnymi zagadnieniami politycznymi i gospodarczymi kraju, a nawet rejonu. W roku ubiegłym, na przykład, biblioteka z okazji historycznych i bieżących wydarzeń międzynarodowych i krajowych — opracowała plakaty, na których podano spisy literatury dotyczącej danego zagadnienia. Dla podniesienia wiedzy fachowej traktorzystów opracowano plakat na temat: „Co traktorzysta powinien wiedzieć o remoncie traktora?", podając równocześnie na plakacie spis książek dotyczących tego zagadnienia. W wyniku wielu traktorzystów zgłosiło się do biblioteki w charakterze abonentów. O każdej nowej książce biblioteka podaje sygnały, kierując się przy tym wskazówkami zaczerpniętymi z prasy. Takich sygnałów biblioteka w Baryszu podała w ciągu roku 1326. Większa ich część przeznaczona była dla przodujących chłopów i kierowników kołchozów oraz inteligencji wiejskiej. Nie dość na tym. Biblioteka do wszystkich przewodniczących kołchozów wysyła równocześnie pisemne zestawienia nowych książek i broszur dotyczących gospodarki rolnej — z zachętą do przeczytania.

Najwięcej uwagi poświęca biblioteka sporządzaniu zestawów bibliograficznych na poszczególne tematy. Tematy te tak są przemyślane, że poszerzają wiedzę czytelnika. Np. na temat „Lenin w literaturze pięknej" podano spis wszystkich powieści i utworów poetyckich, które mówią o Leninie; Takie zestawienia bibliograficzne rozsyłane są do bibliotek wiejskich i klubów, drukowane w gazetach powiatowych, podawane przez radiowęzły i na publicznych zebraniach.

Opracowywane są one tak, aby rzeczywiście zainteresować czytelnika. Do pracy nad sporządzeniem zestawień bibliograficznych przykłada się wielką wagę, prowadzi się instruktaż i seminaryjne ćwiczenia dla pracowników wszystkich bibliotek, urządza się wzorcowe pokazy jak powinien wyglądać zestaw bibliograficzny na podany temat. Przede wszystkim jednak biblioteka utrzymuje ścisły kontakt z radiowęzłem i klubami. Bibliotekarz radziecki zwłaszcza wiejski, nie czeka na czytelnika. On idzie do czytelnika i agituje. **Działa.**

*

Jak widzimy z tych przykładów propaganda książki i czytelnictwa u nas dopiero „raczkuje", bo wystawy książek, które są popularną formą propagandy, nie rozwiązują zagadnienia. Trzeba sięgać do wzorów radzieckiej propagandy książki. Biblioteki powiatowe i gminne, punkty biblioteczne po wsiach muszą nawiązać ścisłą współpracę ze świetlicami i radiowęzłami a tam, gdzie wychodzą gazety powiatowe i z ich redakcjami. Bibliotekarze powiatowi i gminni powinni opracowywać materiały propagandowe do użytku świetlic i radiowęzłów oraz redakcyj czasopism, zwoływać konferencje czytelnicze i organizować wieczory dyskusyjne. Kierownicy świetlic i radiowęzłów muszą konsultować się z bibliotekami, podawać tematykę, którą interesują się czytelnicy w ich okręgach działania i żądać propagowania odpowiedniej literatury. Każdy bibliotekarz gminny obowiązany jest orientować się co interesuje ludność, jakie nurtują wśród niej problemy i odpowiednio do tego kompletować bibliotekę i organizować punkty biblioteczne oraz wieczory dyskusyjne. W każdym prawie powiecie znajdzie się dziś niejeden przodujący rolnik i miczurinowiec. Biblioteka powiatowa może w porozumieniu z odpowiednim wydziałem Prezydium GRN zorganizować dla niego kilka odczytów lub pogadanek, skompletować odpowiednią literaturę i zachęcić chłopów do jej przestudiowania ,najlepiej przez głośne czytanie w świetlicach, a następnie ponownie z udziałem przodującego rolnika lub agronoma zorganizować wieczór dyskusyjny. W ten sam sposób można zorganizować wieczór na wybrany temat z literatury pięknej i politycznej. W obliczu nowych zadań jakie stoją przed naszą wsią w latach 1954 i 1955 — biblioteki powiatowe muszą wzmóc swoją aktywność, ulepszyć metody swojej pracy w oparciu o doświadczenia bibliotekarzy radzieckich, nauczyć się chodzić, a nie „raczkować", działać, a nie urzędować. Bibliotekarz nie może być molem książkowym, ale działaczem społeczno-kulturalnym, czułym na wydarzenia polityczne w kraju. Wytyczne ostatniego Plenu KC PZPR powinny zmobilizować bibliotekarzy powiatowych do wydajniejszej pracy.

Oczekujemy od Was, Koledzy, listów obrazujących metody i osiągnięcia Waszej pracy w powiecie.

Tadeusz Nocoń

JAN MARSZAŁEK

NAUCZYCIEL — TOWARZYSZ ROLNIKA

Zabierając głos w ogólno-narodowej dyskusji nad tezami IX Plenum PZPR, pragnąłbym zwrócić szczególną uwagę na rolę i znaczenie nauczyciela na wsi w walce o wyższe plony, zwiększenie wydajności gospodarstw chłopskich, a w konsekwencji — w walce o wyższą stopę życiową wszystkich ludzi pracy.

Szkoła na wsi może przyczynić się do upowszechnienia nowoczesnych metod rolniczych — i to w sposób najskuteczniejszy, bo poglądowy. Dowiodły tego osiągnięcia takich przodujących nauczycieli-praktyków, jak kol. K. Zając z Pszczyny, kol. P. Kucharski z Niemodlina, kol. R. Błotnicki z Kobierna, którzy potrafili przekonać nie tylko młodzież w szkole lecz i sąsiadów rolników o skuteczności nowoczesnych metod uprawy.

Ich osiągnięcia są jednak, indywidualne i w ogólnonarodowym rachunku naszych potrzeb, stanowią tylko drobną część tego, co mogłoby być zrobione, gdyby nauczyciel pracujący na wsi był lepiej i pełniej do takiej pracy przygotowany.

Chciałbym oświetlić jeden z najbardziej typowych braków w zakresie tego przygotowania — mianowicie: słabe lub żadne przygotowania agro- i zootechniczne. Nauczyciel wiejski, żyjąc w środowisku chłopskim, musi z konieczności stykać się z problematyką rolnictwa i hodowli. Niezwykle ważne jest, aby umiał wobec tych zagadnień zająć stanowisko. Oczywiście, trudno sobie wyobrazić, żeby każdego nauczyciela pracującego na wsi stać było na gruntowne poznanie nowoczesnej agrotechniki. Rozpiętość problematyki obejmującej program wszystkich klas szkoły podstawowej jest tak wielka, że wymaganie od każdego nauczyciela znajomości zasad agrotechniki, wydaje się przesadą. Natomiast w pełni usprawiedliwione będą takie wymagania w stosunku do nauczyciela biologii. Nie może to być jednak człowiek, który do spraw biologii nie ma żywego uczuciowego stosunku, któremu nauczenie tego przedmiotu narzucono, nie licząc się z jego zainteresowaniami. Nie może to być człowiek, któremu co rok zmienia się przedmioty nauczania. Zagadnienia biologii powinny mu być bliskie, aby chciał się w tym kierunku specjalizować.

Dobrze by było, gdyby taka specjalizacja została dokonana już w ostatniej klasie Liceum Pedagogicznego. Pozwoliłaby ona młodemu nauczycielowi jeszcze w szkole na gruntowniejsze zapoznanie się z materiałem naukowym swojej specjalności, a w odniesieniu np. do nauczycieli biologii — miałaby i tę dobrą stronę, że umożliwiłaby nie tylko gruntowniejsze zapoznanie się z teorią Miczurina — Łysenki lecz i praktyczne jej stosowanie. Wyobraźmy sobie np. nauczyciela, który nigdy nie miał do czynienia z sadownictwem, a który zostanie nauczycielem biologii i ma zapoznać dzieci z korzyścią płynącą ze szczepienia drzew owocowych. Czy ten nauczyciel sprawnie potrafi zaszczepić drzewko owocowe? Wątpię. Co innego bowiem wiedzieć teoretycznie jak się to robi, a co innego takie zadanie wykonywać.

Na braki w tym względzie wskazała już dyskusja na Ogólnokrajowej Naradzie ZZNP, której uczestnicy — jak donosił „Głos Nauczycielski" z 20 grudnia 1953 roku — zgodnie stwierdzili, że nowe zadanie stawiane przez IX Plenum wymaga od nauczyciela nie tylko rozszerzenia wiedzy ideowo-politycznej lecz także znacznego pogłębienia wiedzy ekonomicznej i agrotechnicznej.

Wystarczyłoby, żeby w każdej szkole 7-klasowej na wsi był jeden specjalista biolog-fachowiec, obeznany nie tylko z teorią lecz i praktyką agro- i zootechniczną — a miałoby to niesłychanie dodatni wpływ nie tylko na wyniki nauczania z tego przedmiotu lecz i wzrost autorytetu szkoły na wsi i jej przydatności w popularyzacji nowoczesnych metod uprawy i hodowli.

Na to, aby szkoła mogła stać się w pełni krzewicielem nowoczesnych metod w rolnictwie, musi rozporządzać terenem doświadczalnym — działką szkolną o wymiarach co najmniej 0,5 ha. Nie wszystkie szkoły takie działki posiadają. Nawet licea pedagogiczne, które przecież kształcą tych, którzy nowoczesną biologię mają przekazać najmłodszym, nie zawsze rozporządzają działką doświadczalną, a hodowle roślin przeprowadzają tylko w doniczkach. Nie trzeba chyba dowodzić, jak taki stan utrudnia realizację celów kształcących, poznawczych i wychowawczych w naszej szkole.

JÓZEF PODGÓRECZNY

Czytelnicy bez książek

WIEŚ Przechowo położona jest tuż pod Świeciem przy szosie Bydgoszcz - Gdańsk. Z szosy można zauważyć Gminną Bibliotekę Publiczną w Przechowie. Biblioteka ta ani zewnętrznym, ani wewnętrznym wyglądem nie przypomina państwowej instytucji oświatowej. Okno w niej jest duże, ale szyba rozbita. W drzwiach widać kilkunastocentymetrową szparę. Czytelnicy, którzy tam wchodzą, wpadają od razu na leżący opał.

„Sala biblioteczna" jest małą klitką; o tym, by zgromadzić tam jakiś zespół czytelniczy lub urządzić dyskusję nad książką, nie można marzyć.

Rozpoczynamy rozmowę o uczestnikach IV etapu konkursu czytelniczego. Do zaplanowanej ilości brak jeszcze kilkunastu zgłoszeń. Nie wszystkie punkty biblioteczne nadesłały spisy uczestników. Dopóki kier. Jakubowska miała własny rower, to przynajmniej raz w miesiącu odwiedzała gromady; teraz, gdy rower połamał się i nie może go ani naprawić, ani nowego zakupić, nikt do gromad nie dojeżdża.

Pytamy, czy nikt jej nie pomógł werbować uczestników? — Owszem, „Samopomoc" nadesłała jedno zespołowe zgłoszenie. Ale w powiecie nie przyjęto go, gdyż zespół nie wykonał wszystkich warunków zgłoszenia: nie podał jakie książki zamierza omawiać. Widać z tego, że z jednej strony z uczestnikami nie omawiano dokładnie sprawy konkursu; z drugiej — że powiatowe władze czytelnicze do sprawy konkursu podchodzą papierkowo i biurokratycznie. Brak wykazu książek nie powinien powodować odrzucenia zgłoszenia.

Zapytujemy, czy pełnomocnicy gromadzcy nie zajęli się konkursem czytelniczym? Nie otrzymujemy odpowiedzi. Kierownik miejscowej szkoły, członek Powiatowej Rady Czytelnictwa i Książki ob. Józef Małecki informuje, że w gminie pełnomocników gromadzkich nie powołano.

Z rozprowadzaniem książek przez miejscową GS nie jest dobrze. Sprzedawczyni GS mówi, że jest jedna w sklepie, nie ma więc czasu zajmować się książkami.

Przekonaliśmy się o tym naocznie: książki w sklepie są, ale zrzucone byle jak na kupę; nie widać ani tytułu ani ceny.

A ludność chce kupować książki. Świadczy o tym fakt, że w poprzednich latach sprzedawczynie GS były wyróżniane za dobre wyniki pracy przez wojewódzką ekspozyturę „Domu Książki" w Bydgoszczy. Toteż nie wątpimy, że przy odrobinie dobrej woli wykazanej przez GRN i odpowiedniej zachęcie GRN, obecny stan rzeczy łatwo można zmienić.

Ponieważ w sąsiedniej gminie Gruczno stwierdziliśmy również brak pełnomocników gromadzkich do spraw kulturalnych (podobno ustnie ktoś gdzieś wyznaczył na to stanowisko 7 nauczycieli), obawiamy się, że w pow. Świecie n. Wisłą zapomniano ich mianować — a jeżeli nawet mianowano, to wygląda na to, że nie objaśniono ich na czym praca ma polegać i nie pomagano im w niej. W tych dwóch gminach pełnomocnicy gromadzcy nie werbowali uczestników do konkursu czytelniczego. A przecież co drugi chłop prenumeruje tam fachowe pisma rolnicze. Jest więc dla kogo stworzyć odpowiednie warunki życia kulturalnego; jest komu udostępnić książkę w bibliotece i w GS.

Trudno uwierzyć, by GRN znała warunki lokalowe pracy kierownictwa Biblioteki Gminnej w Przechowie i pozwoliła jej w tych warunkach pracować. Powinni się tym zainteresować zarówno inspektor pracy, jak i Zw. Zaw. Prac. Kultury w Bydgoszczy.

Placówkę oświatową w Przechowie zapchano do klitki — a tuż obok stoi od roku pusty gmach — pałacyk właściciela młynów. Na bramie wisi tablica z napisem „Kolonie letnie". Jak nas informowali miejscowi robotnicy, mają tu być organizowane przez Zakłady Zbożowe kursy dla pracowników młynarskich. Niewątpliwie, kolonie dziecięce w lipcu i sierpniu są potrzebne i szkolenie zawodowe jest również ważne, ale fakt pozostaje faktem, że biblioteka nie ma pomieszczenia, a obok stoi pusty gmach. Biblioteka powinna znaleźć w nim miejsce.

Ponieważ Przechowo jest tuż pod bokiem miasta powiatowego Świecie, warto, by życiem kulturalnym tego Przechowa zainteresował się również ktoś z PRN. Przy tej sposobności warto zajrzeć także do innych bibliotek i świetlic, gdyż — jak krążą pogłoski — Biblioteka Gminna w Przechowie nie jest pod względem swego upośledzenia odosobniona.

Józef Podgóreczny

MARIA PIKULSKA

Dyskusja z kułakiem

KIEDY we wsi powstała przychodnia lekarska, kułak Bąbala był z tego bardzo niezadowolony. Dąsał się i psioczył.

— Dlaczego? — zapytałem go. — Rozumiem, że może się panu nie podobać spółdzielnia produkcyjna, skup zboża... no, wiele rzeczy może się panu nie podobać. Ale przychodnia lekarska? Cóż pan w tym widzi złego?

— Nic dobrego nie przyjdzie z tej przychodni — odparł z głębokim przekonaniem.

— Jakto? — pytałem zdziwiony.

— Już ja mam nosa, proszę pana... — powiedział tajemniczym tonem i zadumawszy się na chwilę, ciągnął dalej:

— Te rozmaite przychodnie lekarskie. żłóbki, elektryfikacje i diabli wiedzą co jeszcze — to wszystko nic innego, jak tylko wymysły komunistyczne...

— Do pewnego stopnia ma pan rację, panie Bąbala — powiedziałem...

Widać było, że ucieszył się, iż jestem tego samego zdania, co i on i nabrał większej ochoty do gadania.

— Bo widzisz pan... — zaczyna się od tych różnych przychodni lekarskich, elektryfikacji, a skończy się pewnikiem na założeniu spółdzielni produkcyjnej...

Rozśmieszyło mnie to rozumowanie kułaka:

— Widać, że pan jak ognia boi się gospodarki spółdzielczej.

— To jeszcze gorsze niż ogień! — wykrzyknął.

— Dla pana — tak. Ale przecież przychodnia lekarska nie jest spółdzielnią produkcyjną. Niepotrzebnie się pan lęka...

— Już lepiej, żeby tu nie było żadnej przychodni — odpowiedział mi.

— Jakże tak mówić można, panie Bąbala. Przecież teraz ludzie z waszej wsi będą mogli leczyć się, ratować swoje zdrowie. O ileż mniej będzie cierpień, nieszczęść.

Bąbala ze zniechęceniem machał ręką. Aby go przekonać spróbowałem jeszcze jednego sposobu. Zapytałem:

— Jest pan chrześcijaninem, panie Bąbala, prawda?

— Oczywiście, oczywiście — widać było, że aż się obruszył, iż mogło to być w ogóle poddawane w wątpliwość.

— No więc niech pan spojrzy na to z chrześcijańskiego punktu widzenia. Nie powie pan przecież, że niesienie pomocy ludziom w ich cierpieniach i nieszczęściach jest czymś złym.

Przez chwilę nic nie mówił, tylko drapał się zawzięcie w głowę, jak gdyby szukał tam jakiegoś argumentu dla zbicia moich wywodów. Aż wreszcie znalazł:

— Dawniej nie było przychodni lekarskich, a przecież jakoś obchodzono się bez tego i było dobrze.

Rozzłościł mnie:

— Cóż do diabła? Może pan powiesz, że dawniej nie chorowano?

— No nie, tego nie powiem... — chorowano, owszem... — odparł Bąbala. — Ale radzono sobie bez doktorów. I doskonale sobie radzono.

— Ciekaw jestem, w jaki sposób?

— A no, byli przecież znachorzy... — zaczął.

— Co też pan wygaduje? — wykrzyknąłem. — Znachorzy, to ciemni ludzie, którzy ani trochę nie znali się na medycynie Czyż więc mogli pomóc ludziom? Żeby leczyć trzeba mieć wiedzę, trzeba przez kilka lat kształcić się na uniwersytecie.

— A bo to czego nauczą tam na tym uniwersytecie? — powątpiewał Bąbala. — Kiedyś, przed wojną, to jeszcze, jeszcze... Ale dziś? A te doktory co wychodzą ze szkół, to nic nie wiedzą, nic nie umieją, nic się na chorobach nie znają.

Raz było tak. Na wiosnę w marcu albo w kwietniu łamało mnie cosik w krzyżu, kłuło w boku i zawroty głowy miałem. Myślę sobie: „pójdę do tego doktora, może mi co ulży". No i poszedłem. Kazał mi się rozebrać, obmacał mnie, opukał, przystawił do pleców jakąś rurkę, nasłuchiwał, nasłuchiwał, a potem powiedział, że chory jestem na... No, nie pamiętam już nazwy tej choroby, ale jakieś takie, słowo, że ani pojąć, ani zrozumieć. Wypisał mi później receptę na lekarstwo i kazał z tym iść do apteki. Zapłaciłem tam jedenaście złotych i siedemdziesiąt pięć groszy. I za co? Za taką małą buteleczkę, psiakrew! Żeby choć z pół litra tego było, ale powiadam panu, tyle wszystkiego, co kot napłakał. Zdzierstwo i oszustwo, psiakrew!

rys. J. Aab.

— No, ale co z pana chorobą? — dopytywałem się.

— A, no cóż? Przyszedłem do chałupy, wlazłem pod pierzynę, popijam od czasu do czasu to lekarstwo (kazali pić trzy małe łyżeczki dziennie; czy takie ździebełko może człowiekowi co pomóc?) Popijam więc to lekarstwo i myślę sobie: Oj, niedobrze, niedobrze... Kto wie, czy nie trzeba będzie pożegnać się z tym światem. Miałem już księdza wołać, a także testament pisać. Posłałem swoją starą dowiedzieć się, który rejent taniej bierze, czy ten z Podolan, czy ten z Głazówki... Okazuje się, że obaj drogo biorą...

— No, ale co z chorobą, panie Bąbala? — dopytywałem się z rosnącą ciekawością.

Bąbala machnął ręką:

— Eee. Jaka tam choroba! Żadnej okazuje się, choroby nie było. Po trzech dniach wstałem z łóżka i na weselu u Miętusiewicza tańcowałem. A chorobę to ten doktór wymyślił, żeby tylko pieniądze od człowieka wyłudzić. Takie to dzisiaj doktory są. Nie zna się na niczym, a mądrzy się.

— No, ale przecież sam pan mówił — przypomniałem mu — że łamało go w krzyżu, zawroty głowy miał... Może jednak to lekarstwo właśnie pomogło?

— Eeee. Gdzieby zaś taka mała buteleczka mogła pomóc! — obruszył się Bąbala. — Tak, proszę pana, te ich przychodnie lekarskie, to tylko propaganda i nic więcej. Obywano się dawniej bez tego i było dobrze.

— Znachorzy leczyli, co?... — spytałem z ironią.

— A żeby pan wiedział. Żeby pan wiedział, że znachorzy — zaperzył się Bąbala. — I powiadam panu: lepiej leczyli niż te dzisiejsze doktory. Swego czasu był w naszej wsi taki znachor. Wystarczyło, że spojrzał na człowieka i zaraz wiedział co mu jest. Pamiętam chorował raz mój wujek. Gniotło go coś we środku i gniotło. Ani robić nic nie mógł, ani nawet jeść. Bywało, kupi mu ciotka kiełbasy, salcesonu, a on nawet spojrzeć na to nie chce. Coś strasznego, powiadam panu. I zawołano wtedy tego znachora... no, nie pamiętam już, jak się nazywał. Przyszedł, popatrzył na wujka, zapytał, co go boli, potem podumał, podumał i zaczął lek przyrządzać.

— Ciekawe, ciekawe. Cóż to był za lek? — wtrąciłem.

— Ano wziął garniec mleka... — opowiadał dalej Bąbala — włożył do tego kilka dużych łyżek smalcu, wlał kwartę nafty, wsypał sporą garść popiołu...

— Popiołu? — zapytałem zdumiony — Jakiego popiołu?

— A, no, zwyczajnego — wyjaśnił mi Bąbala i kontynuował swoje opowiadanie:

— Namieszał tam jeszcze innych różności (nie pamiętam już jakich) potem przygrzał to na kuchni, poszeptał coś nad tym i powiada: „Jak Mateusz (to niby mój wujek) wypije ten lek, to albo mu będzie na tę stronę, albo na tamtą". Znaczy się, że albo wujek wyzdrowieje, albo umrze.

— No i co? No i co? — pytałem z zaciekawieniem.

— A no, wypił wujek to wszystko, a raczej, prawdę mówiąc, to nie mógł sam wypić, tylko żeśmy mu wleli do gardła. Nie minęło dwóch dni, a wujek, proszę pana...

— Wyzdrowiał?... — krzyknąłem zdumiony.

— Nie, nie wyzdrowiał, a umarł — odparł Bąbala.

— Umarł? — spytałem.

— A tak, umarł.

— No więc... więc... — zacząłem, ale Bąbala nie dał mi dokończyć, gdyż właśnie zagrzmiał swoim basem:

— A widzisz pan. Powiedział, że wujkowi będzie na tę albo na tamtą stronę, i rzeczywiście sprawdziło się. Widać, że facet znał się na chorobach, nie to, co dzisiejsze doktory. Opukują ludzi, opukują, recepty gryzmolą, przychodnie rozmaite zakładają, a wszystko to nic innego, jak tylko propaganda rządowa.

Wśród korespondencji

PRACA B ZEŹNICKIEJ ŚWIETLICY

Gromada Brzeźnica w powiecie dębickim jest znana w całym woj. rzeszowskim.

Brzeźniczanie społecznym wysiłkiem wybudowali piękny Dom Ludowy, obok niego piękne boisko sportowe z bieżniami, boiskiem piłki nożnej i boiskami siatkówki. Brzeźnicki Ludowy Zespół Sportowy wyróżnił się w całym województwie.

Życie kulturalne w Brzeźnicy rozwija się. W niedługim czasie obok starej, piętrowej szkoły wystrzeliło czerwoną cegłą nowe jej skrzydło, o pięknych, jasnych izbach szkolnych. W starej szkole znalazło pomieszczenie przedszkole. Istnieje tam również kino stałe.

Dom Ludowy przemianowany niedawno na Wiejski Dom Kultury, dobrze spełnia swoje zadania, choć niedawno jeszcze świetlica świeciła pustką.

W świetlicy pracuje kilka zespołów artystycznych, między innymi zespół dramatyczny, składający się z kilkudziesięciu osób w różnym wieku. Zespół ten znany jest w większości gromad powiatu dębickiego i zawsze mile widziany.

Dobrze pracują również zespoły taneczne — dziecinny i młodzieżowy. Chór, po przełamaniu trudności, rozwija się.

W październiku powstały aż cztery orkiestry. Instruktorem orkiestry dętej, składającej się z 16 osób, jest absolwent konserwatorium. Orkiestra piórkowa liczy 18 osób pod kierownictwem tow. Raczyńskiego. Zespół ten na festiwalu zdobył 6 miejsce w skali krajowej, a drugie — spomiędzy orkiestr wiejskich.

Kapelę i naukę gry na fortepianie prowadzi nowozaangażowany instruktor Piotrowski. W kapeli grają ludzie w większości starsi wiekiem, miejscowi grajkowie wiejscy. Grają przeważnie regionalne melodie. Często na przystanku kolejowym „Kochanówka" można spotkać chłopców z instrumentami muzycznymi. To młodzież z okolicznych wiosek — zainteresowana muzyką i życiem kulturalnym — przyjeżdża do Brzeźnicy uczyć się grać i kulturalnie spędzić czas w świetlicy.

*

Wszystko to jest poważnym dorobkiem Brzeźnicy; nie świadczy jednak, że osiągnęła ona w pracy społecznej w s z y s t k o. Daleko Brzeźnicy do tego! Za mało tu jeszcze wkłada się wysiłku w upowszechnianie czytelnictwa. Nie ma dotychczas dobrze zorganizowanych wieczorów dyskusyjnych nad książką: takich, które by przyciągały zarówno młodzież, jak ludzi starszych. Dużo jeszcze można by zrobić w zakresie rozbudzania zainteresowań kulturalnych wśród kobiet. Nie widać w gromadzie szerszej pracy uświadamiającej na odcinku podniesienia wydajności rolnictwa.

Organizatorzy życia społecznego w Brzeźnicy mają piękne zadania do wypełnienia i na tych polach. Niech je jak najprędzej podejmą!

Franciszek Grabowski
pow. Rzeszów

WIEŚ CZEKA NA WSPÓŁCZESNE OBRAZKI SCENICZNE

Wiejskie zespoły teatralne chcą i mogą wystawiać więcej obrazków, skeczów itp., brak im jednak materiałów do opracowania takich przedstawień.

Ostatnio zwracałam się do Zarządu Głównego Związku Nauczycielstwa Polskiego o materiały do wystawiania krótkich pojedynczych scen o tematyce wiejskiej.

Brak odpowiedniego repertuaru jest ogólną bolączką wszystkich świetlic, szczególnie świetlic wiejskich. Wchodzą czasem pewne nowości na sceny świetlicowe; większość z nich jednak — to adaptacja z książek. A wszak chodzi nam przede wszystkim o sztuki współczesne.

Apel pod adresem Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz pisarzy o współczesne sztuki jest więc wyjątkowo aktualny. Po IX Plenum stał się nawet koniecznością, wymagającą szybkiej realizacji.

Tocząca się dyskusja nad właściwym powiązaniem pracy nauczyciela w szkole z pracą społeczną w gromadzie wysuwa pewne formy tej pracy. Jedną z tych form może być przykład nauczycieli z niektórych naszych szkół, którzy rozbudzając w młodzieży zainteresowania kulturalne trafili do gromady.

Aniela Volbertowa
pow. Rzeszów

RYSUNKI ARTYSTÓW LUDOWYCH

Autorem zamieszczonych poniżej rysunków jest Bronisława Białek ze wsi Chechły, w powiecie dębnickim. Przedstawiają one kilka wydarzeń z życia jej gromady. Pierwszy — podpalenie domu przez hitlerowców. Drugi — powitanie radzieckich wojsk, wyzwalających wieś, trzeci — powrót żołnierza-kościuszkowca do rodzinnej wsi.

Bronisława Białek brała udział w pierwszym ogólnopolskim konkursie dla twórców ludowych. Nie została na nim nagrodzona, lecz z tym większą dbałością przygotowuje się do wielkiego konkursu na 10-lecie Polski Ludowej. Zachęcamy wszystkich twórców ludowych, aby poszli za przykładem Bronisławy Białek.

KRONIKA KULTURALNA

W najbliższym czasie nastąpi oficjalne ogłoszenie wyników współzawodnictwa między województwami w akcji werbunkowej do IV etapu konkursu czytelniczego. Województwo olsztyńskie ma wszelkie szanse zajęcia, jeśli nie pierwszego, to jednego z pierwszych miejsc. Wykonało ono bowiem swój plan werbunku czytelników w 160 procentach. Osiągnięcie to ma tym większe znaczenie, że we wszystkich dotychczasowych ogólnopolskich imprezach kulturalnych olsztyńskie pozostawało daleko w tyle za innymi województwami.

Źródło tego sukcesu leży w umiejętnie przeprowadzonej popularyzacji konkursu oraz w wykorzystaniu wszelkich możliwych form propagandy jak radiowęzły, gazetki ścienne, błyskawice i systematyczna agitacja po domach. Jest to również w dużej mierze zasługą dobrze pracujących na tym terenie komisji konkursowych, w skład których wchodzili przedst ZSCh, ZMP, GS, PZGS i rad narodowych oraz bibliotekarze. Ci ostatni — rzecz zrozumiała — przodowali. Z najlepszych wymienić należy ob. Szczęśniaka z gm. Małdyty pow. Morąg, który zwerbował 425 czytelników, ob. Andrzeja Raczyńskiego z gminy Lipowiec w powiecie Szczytno (305 osób), ob. Edytę Kulbacką z Czerwonki w pow. Reszel (300 osób), oraz ob. Barbarę Sadłowską ze Stawigudy w pow. olsztyńskim (292 czytelników). Ogółem w woj. olsztyńskim bierze udział w konkursie czytelniczym 29 tys. chłopów.

Dotychczasowe osiągnięcia winny być zachętą do dalszej intensywnej pracy z czytelnikami, by w ostatecznym podsumowaniu wyników IV etapu Konkursu woj. olsztyńskie zajęło I miejsce w kraju.

* * *

Mało dotychczas znana jest sztuka ludowa Wielkopolski. Mało jest ludzi, nawet wśród rodowitych Wielkopolan, którzy by znali ją chociażby tak tylko, jak twórczość ludową Łowickiego, Krakowskiego czy Podhala. A ma Wielkopolska nie mniej bogate tradycje od innych regionów Polski.

Ludność okolic Szamotuł i Kórnika może chlubić się wyrobem pięknych pasiaków odznaczających się harmonią barw, pomysłowością wykonania oraz prawdziwie ludowym artyzmem. Jarocińskie słynie z haftów tzw. „snutkowych" i tiulowych. Z wyrobu artystycznych serwet i dywanów znane są okolice Kościana, Śremu oraz Pawłowic, Włoszakowic i Kąkolewa. Ośrodkiem chałupniczej produkcji rzadko spotykanych w kraju wyrobów z ciągliwego szkła są okolice Ujścia nad Notecią, Chodzieży i Koła.

Twórczość ludowa Wielkopolski odradza się i rozwija pod troskliwą opieką państwa. Dzięki inicjatywie wydziałów kultury przy prezydiach PRN w Szamotułach, Jarocinie i Śremie zorganizowane zostały we wsiach tych powiatów specjalne kursy hafciarstwa ludowego, głównie wielkopolskich snutek. Inicjatywę tę poparła poznańska Centrala Przemysłu Ludowego i Artystycznego otwierając w Pyzdrach ośrodek szkoleniowy oryginalnych, starych haftów wielkopolskich.

Warto, aby cały aktyw kulturalny wsi, a przede wszystkim kobiecy, zajął się rozpropagowaniem ośrodka wśród młodzieży i zachęceniem starych doświadczonych hafciarek ludowych do wzięcia udziału w jego pracy.

* * *

Ciekawe są perspektywy rozwoju placówek kulturalnych na wsi w woj łódzkim w latach 1954—55. Jak donosi nam nasz korespondent Józef Feja z Rokicin k. Koluszek uchwałą WRN w Łodzi w dniu 14 stycznia bież. roku, planowany jest wzrost liczby świetlic gminnych do 91. W każdej z nowopowstałych jak i w już istniejących pracować będą co najmniej trzy zespoły: artystyczny, czytelniczy i sportowy. Świetlice gromadzkie zostaną otoczone większą niż dotychczas opieką ze strony ZSCh oraz świetlic gminnych.

Zwiększenie sieci punktów bibliotecznych planuje się z obecnej liczby 1.600 do 1.800 w bież. roku oraz do 2.000 w roku 1955. W ten sposób w woj. łódzkim na trzy gromady, dwie będą posiadały punkty biblioteczne.

Towarzystwo Wiedzy Powszechnej w planie swym na rok 1954 ma 3.500, a na rok 1955 — 4.000 odczytów na wsi na tematy rolnicze oraz społeczno-polityczne. Akcją odczytową objęte zostaną przede wszystkim powiaty: Rawa Mazowiecka, Wieluń, Sieradz, Łask i Radomsko.

Teatr Ziemi Łódzkiej zamierza dwie trzecie przedstawień skierować na wieś dostosowując repertuar do jej społecznej i gospodarczej problematyki.

* * *

Wraz z rozwojem rolnictwa oraz nowoczesnych metod uprawy roli i hodowli, ruch mieczurinowski na wsi cieszy się coraz większym zainteresowaniem wśród chłopów, uzyskując coraz więcej zwolenników.

W samym woj. warszawskim istnieje już 97 kółek mieczurinowskich skupiających 1.067 rolników, z czego 71 kół istnieje w indywidualnych gromadach, 21 w spółdzielniach produkcyjnych, a 5 przy szkołach rolniczych. Największą liczbę kół posiadają powiaty: pułtuski, siedlecki i płoński.

Niezależnie od kół zorganizowanych w woj. warszawskim 112 niezrzeszonych mieczurinowców prowadzi samodzielne doświadczenia. Do takich właśnie należy: średniorolny Karpiński z grom. Cieszkowo Stare w pow. Płońsk, który założywszy doświadczalne poletka kapusty abisyńskiej, lucerny i dyni oleistej osiągnął wysokie plony;

przodujący chłop z grom. Łazy w pow. ostrołęckim Stanisław Gajewski, który w doświadczeniach z sorgiem miotełkowym, kukurydzą i lucerną uzyskał dobre wyniki;

przewodniczący spółdzielni produkcyjnej Żabokliki w pow. Przasnysz Apolinary Wojciechowski, o którym obszernie pisaliśmy w poprzednim numerze.

* * *

Ostatnio ożywiła się bardzo działalność ludowych zespołów sportowych na wsi. Wpłynęły na to zarówno kampania sprawozdawczo-wyborcza przeprowadzana w ostatnich dwóch miesiącach ub. roku, podczas której dokonano samokrytycznej oceny dotychczasowej działalności i jej wyników, jak i szeroko rozwinięty Czyn Zjazdowy.

Realizacja podejmowanych przez LZS-owców zobowiązań przedzjazdowych budowy nowych urządzeń sportowych oraz wykonywania we własnym zakresie sprzętu sportowego przyniesie państwu kilkaset tysięcy oszczędności. W samym województwie koszalińskim LZS-owcy podjąwszy 193 zobowiązania zespołowe i 494 indywidualne zapewnią uzyskanie 167 tysięcy zł oszczędności. Przoduje w tym młodzież pow. sławieńskiego, która w 54 zespołach podjęła zobowiązania na łączną sumę 60 tys. Również w ostatnim okresie powiększył się bardzo stan liczebny LZS woj. koszalińskiego, gdzie liczba członków zrzeszonych w 500 kołach wzrosła do 12 tysięcy. Także dzięki bardziej intensywnej uświadamiająco-politycznej pracy aktywu 382 członków LZS wstąpiło w szeregi ZMP w wyniku czego powstało wiele nowych kół.

Gazetka gminna

ZŁOTY CZŁOWIEK

Nie brakowało w Tucznej (pow. Biała Podlaska) takich, którzy z zachwytem mówili o przewodniczącym GRN, Pawle Osowskim: „złoty człowiek", „wielkie serce".

Istotnie. Osowski był w czasie, o którym piszemy, także i magazynierem GS. Myślicie, że piastując tak poważne godności, choć przez chwilę pomyślał o własnych interesach? Nic podobnego! Oto przykłady.

Przyszedł kiedyś do GRN Stanisław Jastrzębski i powiada:

— Paweł, za dużo mam ziemi; zrób ze mnie średniaka.

A Osowski, dusza człowiek, sam wziął parę hektarów na siebie, żeby tylko bliźniemu ulżyć. Nawet podatek od ziemi kazał referentowi skreślić z dobrego serca Nic więc dziwnego, że go Jastrzębski nachwalić się nie może.

Jakoś w sierpniu ub. roku kupił sobie Osowski kierat, ale długo nim nie kręcił. Zaraz bowiem poprosił go o kierat — Franciszek Lipka — mocny średniak, ogromnie łasy na wszelką mechanizację. Osowski kierat dał, bez formalności, rachunków, ot — dusza człowiek! Lipka poprosił także o sieczkarnię. I znowu nasz złoty człowiek nie odmówił...

Ostatnio poprosił o kierat ojciec Osowskiego. Odmówił, gdyż nie chciał, by go posądzono o popieranie rodzinki. Ale kiedy ojciec wyjaśnił, że chce kierat oddać znajomkowi z sąsiedniej gminy — Osowski zgodził się entuzjastycznie. Dla bliźnich wszystko! Ba, nawet sam po cichu kierat załadował na wóz, gdzie trzeba zawiózł w tajemnicy, nie chciał bowiem, by o jego dobroci głośno się w gminie mówiło.

A chłopi, jak to chłopi, poczęli właśnie głośno mówić o „dobrym sercu" Osowskiego. Co dużo gadać — nie masz już w Tucznej ani przewodniczącego GRN, ani uczynnego magazyniera Pawła Osowskiego. Co za niewdzięczni ludzie!

JAN SOKALSKI
(Na podstawie listu mieszkańca Tucznej. Nazwisko znane redakcji).

MIŁA RODZINKA...

Młode pokolenie rodziny Danieluków z Polskowoli, gm. Kąkolewica, pow. Radzyń Podlaski, urządziło sobie bardzo pouczającą zabawę. Trzej bracia — Stanisław, Franciszek i Marian każdego wieczoru wybierają się na wieś w celach ściśle naukowo-poznawczych.

Dla przykładu opiszemy jedną z takich wypraw. Wygląda ona tak: Stasiek puka delikatnie do drzwi małorolnego Zienia i prosi uprzejmie, aby zechciał wyjść do ciemnej sieni. Stasiek do środka nie wchodzi, gdyż — jak oświadcza — nie chce błotem i śniegiem zabrudzić podłogi. Jest to prawdziwa lekcja uprzejmości.

Skoro wywołany zjawia się — rozpoczynają bracia naukę rachunków. Rodzinka liczy zgodnie zęby i żebra Zieniowi. Czyni to przy pomocy takich przyborów, jak nóż i pięść. Z kolei następuje lekcja, poświęcona nader ważnemu zagadnieniu — wytrzymałości materiałów. Drą po prostu braciszkowie ubranie na pobitym, sprawdzając czy mocne. Ostatnia lekcja w całości przeznaczona jest na podniesienie sprawności fizycznej. Dzielna trójka potem umyka co sił w bezpieczne miejsce.

Rzecz prosta Zień zaprotestował u władz przeciwko tego rodzaju pouczającym zabawom. Miejscowy poeta napisał nawet wiersz przeciwko rodzinie Danieluków, zaczynający się od słów:

„Danieluczka jest modląca,
Za to syny chuligany.
W niej duszyczka goreiąca,
U synów — nożyk składany"...

A władze lokalne co na to? W tym sęk, że nic, dosłownie — nic.

MICHAŁ GORCZYCA
(Na podstawie listu mieszkańców Polskowoli).

JAN BOLESŁAW OŻÓG

Kułak

Brał na służbę sierotę
wprost z przedszkola, maleńką:
Zmarł ci tatuś w sobotę,
chodź, chodź do mnie, Kasieńko.

Rosły, rosły mu szpony,
drgały wargi wesoło.
Chodź, sieroto, do bydła,
odrazu ci dam — szkołę.

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

Łzy się kręcą

Była kiedyś świetlica gwarna,
młodzież o lepsze szła w zawody,
lecz pieśń zmilkła, sala zamarła,
gdy młodzieńcom porosły brody.

NOWOŚĆ

STANISŁAW WAŁACH
I ROMAN PAWŁOWSKI

STALOWY CHLEB

Opowiadanie o żołnierzach Armii Ludowej

„...W tej książce, opisane są prostymi słowami wielkie i bohaterskie czyny prostych ludzi, górników, robotników z kopalń i fabryk...

Nic w tej książce nie jest zmyślone..."

(z wstępu)

Stron 182 Cena zł 7,50

WYDAWNICTWO MINISTERSTWA OBRONY NARODOWEJ

K 17306-1

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL
Redaguje Komitet
Adres administracji: Warszawa, ul. Wiejska nr 12, tel. 8-00-81
Telefony: Red. Nacz. 863-86, Redakcji 870-61, wewnętrzny 13, 42, 70.
Adres redakcji: Warszawa, pl. Starynkiewicza nr 7.
Warunki prenumeraty:
mies. — 4,60 zł, kwartalnie — 13,80 zł, półrocznie — 27,60 zł, rocznie — 55,20 zł. Zamówienia i wpłaty na prenumeratę przyjmują wszystkie urzędy pocztowe oraz listonosze.
RSW „PRASA", Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5 5-B-11710

Ukazała się nowa powieść historyczna

JAN BRZOZA

DZIEWIĄTY BATALION

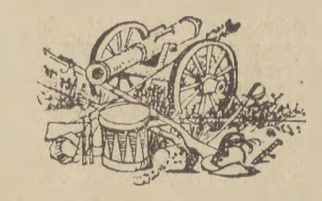

Stron 290 Zł. 14..5

Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej